



# Styk

MIESIĘCZNIK

## KULTURA I NIE TYLKO

5000 zł !

Białystok Nr 4(25)

październik 1994

Indeks 353108

- Nie tylko  
w Janowie
- Różni od innych
- Skok przez lamperię
- Lato bez sensu
- Pokój z widokiem  
na obraz
- Pierwsza miłość
- Kłaniały się grązele  
złociste
- Klapa idzie dalej
- Spotkania nad  
Świtezią
- A ja i tak nic nie  
zmienię



# CHODNIK DO PANDEROZY

# VII PODLASKA JESIEŃ TANECZNA



# Nie tylko w Janowie



## Z wójtem gminy Janów Mirosławą Siwą rozmawia Włona Wąsowicz-Szczepaniak

**Została pani po raz drugi wójtem gminy Janów. Jaki jest pani zawód, czy pomaga on pani w pracy?**

Ukończyłam prawo w Łodzi, a potem aplikację radcowską w Białymstoku. To bez wątpienia jest moim pasjonatem, w innym wypadku musiałabym zatrudnić kogoś z wiedzą prawniczą.

**A nie wolałaby być pani radcą prawnym, choćby nie z względów materialnych?**

Bardzo lubię to co robię, a w ogóle chyba jestem pracowolikiem.

**Jak pani łączy obowiązki rodzinne z dosyć wyczerpującą pracą? Czy nie rodzi to konfliktów w pani duszy?**

Od kilku miesięcy jestem wdową. Moja córka jest samodzielna od zawsze. Musiała taka być - kiedy miała dwa latka, ja robiłam aplikację radcowską i dojeżdżałam z Sokółki do Białegostoku. Mogę na niej polegać, ona jest bardzo silna.

**Jak to się stało, że mieszka i pracuje pani na wsi? Czy był to świadomy wybór?**

Urodziłam się w Czarnej Białostockiej. Męża poznałam na studiach, pobraliśmy się na ostatnim roku. Jako młode małżeństwo postanowiliśmy zamieszkać na wsi, gdzie łatwiej było znaleźć mieszkanie i dorobić się. Kiedy postanowiłam zrobić aplikację radcowską - bo sobie nie wyobrażałam siebie w roli kury domowej - przenieśliśmy się do Janowa; tam gdzie mieszkaliśmy, nie było dobrego dojazdu. Trafiliśmy tutaj zupełnie przypadkowo. Postanowiliśmy rzucić się na głęboką wodę.

**Czy wybór po raz drugi na wójta gminy traktuje pani jako potwierdzenie, że coś dobrego pani dla Janowa zrobiła?**

W Janowie jestem od 9 lat. W początkach mojego pobytu byłam sekretarzem gminy, potem przez półtora roku pracowałam w Sokółce. Wtedy zaproponowano mi stanowisko wójta w Janowie. Byłam jedyną kandydatką. Teraz poproszono mnie o to po raz drugi. Uważam, że sama propozycja, już nawet nie wybór, jest swoistym wyróżnieniem - dla mnie i dla mojej pracy, jaką przez cztery lata tu wykonałam. Zrobiłam dość dużo, na pewno nie wszystko, bo to niemożliwe, a ocenę moich decyzji i pracy pozostawiam innym.

**Co udało się pani dokonać w poprzedniej kadencji i co chciałaby pani kontynuować?**

Pierwszą inwestycją po moim wyborze w 90 roku była linia energetyczna na osiedlu domków jednorodzinnych. Potem rozpoczęliśmy asfaltowanie dróg, przede wszystkim wojewódzkich, ale i gminnych oraz telefonizację gminy - bo uważam, że oknem na świat ludności wiejskiej są właśnie drogi i telefony. W ciągu poprzedniej kadencji położyliśmy 15 kilometrów nawierzchni asfaltowej, a przy pomocy mieszkańców wsi wyremontowaliśmy 55 kilometrów. Rozwiązaniem innego problemu - stanu obiektów szkolnych - zajęłam się także dlatego, że mam córkę i chciałabym, żeby uczyła się w dobrych warunkach, mimo iż mieszkamy na wsi. Kiedy tutaj przyszedłam, baza szkolna nie była remontowana od wielu, wielu lat. Proszę sobie wyobrazić, że niektóre szkoły nie miały sanitariatów i tak jest gdzieś do tej pory. Zrobiliśmy generalny remont szkół w Kisielanach, Nowowoli, Kuplisku. Rozpoczęliśmy w tym roku budowę nowej szkoły w Białusach, gdyż według ekspertyzy mykologicznej budynek groził zawaleniem. Poza tym telefony...

**Ale widzę tutaj w GOK-u "telefon na korbkę"...**

No, niestety to jest nasza pięta Achilleś; automatyzacja jest za droga, abyśmy mogli ją sami wykonać (38 miliardów złotych - przy rocznym budżecie mojej gminy 9 miliardów złotych). Razem z wójtami Korycina i Suchowoli prowadzimy rozmowy ze spółką akcyjną Telefony Polskie - oni mieliby partycypować w 1/3 kosztów, gmina w 1/3, no i reszta mieszkańcy. Wystąpiliśmy do ministerstwa o dofinansowanie. Jaki będzie

efekt naszych starań - czas pokaże. Ale i do tej pory nie próżnowaliśmy: od 90. roku mamy sto nowych numerów telefonicznych.

**Oprócz telefonów, co jeszcze musi pani zrobić?**

Przede wszystkim oczyszczalnię ścieków. Nie chcielibyśmy rozwijać tu przemysłu, raczej turystykę, bo przecież są to Zielone Płuca Polski. Moi poprzednicy - a uważam, że była to decyzja nieprzemysłana - zlikwidowali zalew w Janowie.

**Nie wiedziałam, że był tutaj zalew.**

Tak, przepiękny, były tu bobry, ptactwo wodne, naturalna flora i fauna. Chcemy przywrócić zalew, z korzyścią dla turystów i mieszkańców.

**Jak układa się pani współpraca z radą gminy? Czy są instytucje, fundacje, na które może pani liczyć?**

Moja funkcja jest organem wykonawczym rady gminy, więc wszelkie decyzje - przy moich i zarządu sugestjach - podejmuje rada gminy. Ona przede wszystkim zatwierdza budżet. Jeśli przedstawiam różne propozycje, to nie chcę, żeby akceptowała je w ciemno; na sesjach rady rozmawiamy, zastanawiamy się, nawet klóćmy - ale w interesie naszej gminy.

Pomoc okazuje Fundacja Demokracji Lokalnej w Białymstoku; w tym roku zrefundowała nam w 50% opłatę za dokumentację na strefy ochrony studni w Janowie.

Natomiast z budżetu wojewódzkiego dotacje są niewielkie, na przykład przy koszcie budowy dróg wynoszącym 2,5 miliarda - z Urzędu Wojewódzkiego dostałam 300 milionów i usłyszałam na dodatek, że jest to znaczna pomoc.

**Kiedy gminne placówki kultury przeszły pod kompetencje samorządu powstały obawy, że pieniędzy na kulturę nie starczy, bo zawsze będą inne, ważniejsze potrzeby. Czy pani też stoi przed takimi dylematami?**

Niestety stoję. Tam, gdzie rywalizuje kultura - droga, kultura - telefon, czy woda, ta pierwsza stoi na straconych pozycjach. Ale zawsze staram się przeko-

nać radę, bo uważam, że taki jest mój obowiązek jak matki. Mnie stać na zapewnienie dziecku cywilizacyjnych udogodnień, ale wiele osób nie. Dzieci na wsi nie znają komputerów; nie ma ich w szkołach, które są tu to za biedne. Jeśli pójda uczyć się dalej do miast, to porównując swoje obycie z rówieśnikami w miastach przeżywają stres. Dlatego w naszym ośrodku kultury otworzyliśmy pracownię komputerową.

**A co pani sądzi o kulturze komercyjnej, prywatnej? W Janowie istnieje słynna dyskoteka "Panderoza".**

Od samego początku obiema rękoma podpisywałam się pod tym. Uważam, że dobrze, iż młodzież w taki sposób może się wyszumieć. Dawniej zabawy odbywały się w centrum Janowa, niedaleko od kościoła i to niektórym przeszkadzało. Plusem jest to, że teraz dyskoteka przeniosła się poza wioskę, minusem - wypadła na drodze. Giną ludzie nietrzeźwi, ale trudno wyrokować, czy nie zdarzyłoby się to gdzie indziej.

**A co mieszkańcy myślą o "Panderozie"?**

Opinie są podzielone, jak to się mówi - jeszcze się taki nie narodził, który by wszystkim dogodził. Młodzież jest za, a Janów korzysta - za oświetlenie od godziny 23 w sobotę do 4 rano płacą właściciele "Panderozy". Argumentem przeciwko dyskotece jest też pijaństwo; ale nie oszukujmy się, to pijaństwo jest. Jeżeli w "Panderozie" nie będzie piwa, drinków, to młodzi przyniosą swój alkohol. Jeśli nie wypiją tam, to wypiją w parku; wybiją szyby i przy okazji pobiją kogoś. Przecież na taką dyskotekę przychodzi i młodzież z dużą kulturą osobistą, i tacy, którym przeszkadza to, jak ktoś stoi, jak patrzy, jak się uśmiecha. Tak jest wszędzie, nie tylko w Janowie. A jeśli te negatywne zjawiska skupiają się w jednym miejscu, to policja ma ułatwione zadanie.

**Czy pani córka lub pani bywa w "Panderozie"?**

Córka nie, jest stanowczo za mała, ma 11 lat. Ja byłam zaproszona na otwarcie "Panderozy". I byłam.

**Podobało się pani?**

Podobało.



Janów

# CHODNIK DO PANDEROZY

Gdyby Jerzy Suszycki zdecydował się od początku stawiać sprawę jasno, wszystko ciągnęłoby się pewnie parę lat. Załatwianie mnóstwa papierków, zaświadczeń, latanie po biurach i urzędach, przepychanki z setką różnych komisji... Pewnie do tej pory już by mu odechciało.

Pomysł na cały ten interes przyszedł mu do głowy wiele lat temu, kiedy był w Stanach. Tam zobaczył wielkie dyskoteki z prawdziwego zdarzenia, umiejscowione z dala od miast - tak, żeby to nikomu nie przeszkadzało.

Nie od razu jednak udało mu się zrealizować swoje marzenia. Po powrocie do kraju robił różne rzeczy, między innymi prowadził hurtownię i sklep z kasetami. Złośliwi mówią, że skorobił się na piractwie, jak większość wtedy. Jak było naprawdę? W każdym razie prokurator go nie ściga.

Już wtedy na każdym rogu zaczynały rozbrzmiewać "chodniki". Suszycki był w branży, dobrze znał rynek i ciągle snuł wizje dużych przedsięwzięć na szeroką skalę. Mówi, że nawet nie chodzi mu tak bardzo o pieniądze. Chciał zrobić coś wielkiego; coś, co widział w Ameryce...

Był wtedy w Polsce taki przepis, że żeby zostać rolnikiem, trzeba było mieć 20 ha ziemi. Suszycki upatrzył sobie taki kawałek w rodzinnym Janowie, a właściwie - trochę za miasteczkiem. Tyle, że znajdowało się na tym terenie małe wysypisko śmieci. Obiecał, że oprzątnie to wszystko i zagospodaruje ziemię. Mieli go za wariata, ale gmina się zgodziła.

Kiedy minął miesiąc, po wysypisku nie zostało ani śladu. Potem zaczął budować... stodołę. Bardzo dużą stodołę; taką, w której zmieściłoby się tysiąc ludzi, a może i więcej. I tyle się mieści, bo do Panderozy każdej soboty ściągają ludzie z bardzo odległych miejscowości. Jest to jedyna dyskoteka tego typu w obrębie dziesięciu gmin - mówi z dumą Suszycki. - I dobrze, bo inaczej nie miałoby to sensu. Otwarta jest przecież tylko w soboty i niedziele.

Ludzi przywożą do Panderozy specjalne autokary - dwa z Białegostoku, reszta z różnych miasteczek. Publika bywa różna - od nastolatków po ludzi

w starszym wieku, którzy chcą się odebrać od codziennej szarżyzny i raz w tygodniu zaszaleć.

Teraz jest już w miarę spokojnie, chociaż na początku nie było tak łatwo. Suszycki wspomina zabawy ludowe, które organizowano kiedyś w Janowie. Nie udawały się nigdy, zawsze kończyły się jakimiś bójkami, jakąś wojną gmin. U niego też tak próbowali, ale powoli ich tego oduczyl. Nie na darmo zatrudnia kilkunastu zawodowych ochroniarzy. Powoli ludzie się przyzwyczaili do tego, że tutaj ma być spokojnie. Jeśli chcą się bić - to z dala od Panderozy. Teraz podobno jest tak, że wystarczy jeden radiowóz policji od czasu do czasu - i po kłopotach.

Ale Panderoza to tylko jeden z trybików całej maszyny, którą nakręca Suszycki z kilkoma współpracownikami. W jej skład wchodzi firma fonograficzna oraz dwie agencje. Jedna zajmuje się między innymi organizacją dużych koncertów i tras koncertowych na terenie całej Polski, druga natomiast montowaniem - nie tylko w województwie białostockim - właśnie dyskotek, takich jak Panderoza.

Zapytany o to, czy istnieje dla nich jakaś konkurencja - Suszycki śmieje się, szczerze ubawiony. Bo niby kto miałby być tą konkurencją? Rządowa kultura, biedniejsza od kościelnej muzyki; miejscowy GOK, w którym nawet kino zlikwidowano, bo nie było chętnych, a dyskoteki nie ma gdzie urządzić, bo brakuje odpowiedniego pomieszczenia i wystarczającej ilości kadry. Czy Janów, gdyby nie było tu Panderozy, miałby kiedykolwiek szansę, aby gościć u siebie na przykład Lady Pank, Chłopców z Placu Broni, Turbo, Marka Sierockiego, który prowadził tu dyskotekę? Nie wspominając już o ca-

łej rzeszy zespołów disco-polo, zapraszanych do Janowa na każdy weekend.

Suszycki naprawdę jest zakochany w disco-polo. Zauroczony najmodniejszymi przebojami, wyobraża sobie ich teledyskowe realizacje. Cóż, właściwie jest promotorem tej produkcji. Dzięki niemu twórczość wszystkich młodych ludzi, którzy piszą teksty i muzykę do disco-polo, wychodzi na świat.

Tego lata Suszycki zaczął rozbudowywać Panderozę: - Jak mam zaprosić do Janowa Korę czy choćby Beatę Kozidrak,



kiedy nie ma tu porządnej garderoby z lustkami? Na dole "dobudówki" ma być bar, w którym będą drinki. Teraz sprzedaje się tu tylko piwo i wino.

Kiedy byliśmy w Janowie we wrześniu, plac wokół dyskoteki był jeszcze nieuporządkowany, nierówny. Ale Suszycki ma już gotowych co najmniej pięć projektów na zagospodarowanie tego terenu. Myśli nawet o urządzeniu podświetlanej sadzawki z fontanną i pływającymi w niej rybkami, o produkcji wody mineralnej... Zwłaszcza, że wodę już ma, bo jeszcze podczas likwidacji wysypiska wykopano źródło, które ciągle tamtędy płynie. Głupio byłoby go nie wykorzystać.

Anna Kowalska

# Różni od innych

W Janowie, podobnie jak w tysiącach gmin w Polsce, jest Gminny Ośrodek Kultury. A jednak pla-



Dyrektorka GOK-u w Janowie Stanisława Kowalczyk

cówka ta i jej działalność różni się od innych. Otóż w 1989 r. eksperymentalnie został powołany do życia wielofunkcyjny ośrodek kultury tzn. połączono w jeden organizm: Bibliotekę Publiczną wraz z filiami, Izbę Tkactwa Regionalnego, klubokawiarnię "Kołowrotek", kino i GOK.

Rozwiązanie to ma oczywiście swoje plusy i minusy. Dzięki połączeniu ośrodek kultury integruje pod jednym kierownictwem wszystkie placówki działające na terenie gminy, ma możliwość realizacji znacznie bogatszej i różnorodnej oferty kulturalnej, umożliwia lepszą koordynację zadań oraz szersze wykorzystanie umiejętności instruktorów tu pracujących. Wiele trudności nasręcza nam brak sali widowiskowej (kino z chwilą przejęcia finansowania przez samorząd zostało rozwiązane), mała powierzchnia użytkowanych przez nas pomieszczeń, akustyczność budynku - uniemożliwiająca prowadzenie szerszej działalności - mówi **Stanisława Kowalczyk**, dyrektorka GOK-u w Janowie. Po przejściu ośrodka w 1989 r. mogłam sobie dobrać pracowników. Istniało tu jedynie kółko fotograficzne. Zorganizowaliśmy więc kółko plastyczne, tańca towarzyskiego, modelarskie, komputerowe, kulinarne. Młodzież z małym stopniem upośledzenia, najczęściej z rodzin

patologicznych, mogła uczyć się tkania na ramkach i krosnach. Próbowaliśmy sporo rzeczy, jedne wyszły, inne okazały się niewypałem.

Uczestnikiem zajęć proponowanych przez GOK jest przeważnie młodzież i dzieci. Dorośli zajęci sprawami bytowymi nie mają czasu, a może i ochoty na taki rodzaj wypoczynku.

Janów jest jednym z nielicznych, od wielu lat znanym ośrodkiem tkactwa dwuosnowowego. Od dwóch lat intensywniej zajęli-

śmy się twórczyniami ludowymi m.in. poprzez organizację konkursu na tkaninę podwójną. W ubiegłym roku w konkursie "Codziennosc przedzą malowana" wzięło udział piętnaście twórczyń z 32 pracowni.

Ministerstwo Kultury i Sztuki umożliwiając realizację najciekawszych i najbardziej wartościowych programów z zakresu kultury i sztuki wprowadziło nową formę wspierania finansowego, tzw. granty. Skorzystał z tego Janów - przyznano mu 100 mln zł. Dzięki temu mogliśmy zakupić część prac nagrodzonych i wyróżnionych, tym samym wzbogacając Izbę Tkactwa.

Tradycję tkania dywanów podwójnych wskrzesiła i rozwinęła na tym terenie prof. Eleonora Plutyńska. Dzięki niej tkanina ludowa w Janowie tworzona jest do dzisiaj. Gminny Ośrodek Kultury upowszechnia janowską tkaninę

dwuosnowową poza granicami naszego regionu. W związku z przypadającą w tym roku 25 rocznicą śmierci prof. Plutyńskiej ogłoszono kolejny konkurs na tkaninę podwójną, nawiązano kontakty z uczennicami mieszkającymi w województwie białostockim. Z okazji zostanie wydany katalog-informacja poświęcony janowskiemu tkaczkom.

1 września br. została uruchomiona przy Gminnym Ośrodku Kultury w Janowie Zasadnicza Specjalna Samorządowa Szkoła Tkactwa Ludowego przygotowująca w zawodzie tkacz dywanów dwuosnowowych. Realizowany jest w niej program przedmiotów ogólnokształcących zatwierdzony przez ministerstwo i autorski program przedmiotów zawodowych miejscowej rady pedagogicznej.

W tej chwili pracujemy jako szkoła niepubliczna, mamy jednak nadzieję i będziemy się ubiegać o nadanie nam uprawnień szkoły publicznej. Przedmiotów ogólnokształcących uczy kadra przygotowana do nauki w szkołach specjalnych, naukę tkania prowadzi twórczyni ludowa Alicja Kochanowska. Szkoła nasza cieszy się dużym zainteresowaniem w Janowie i nie tylko. Ma za zadanie przygotować uczennice do samodzielnego życia, nauczenie podstawowych rzeczy i prac użytecznych w domu.

Szkołę finansuje samorząd gminy wspólnie z Gminnym Ośrodkiem Kultury. Koordynatorem i głównym inicjatorem



Szkoła Tkacka

wszystkich działań związanych z GOK-iem i szkołą jest Stanisława Kowalczyk.

Dorota Lewczuk

# Z zapiśnika

Maleńkim strumieniem płynie  
teści, przenika smutki i nadzieje,  
kapla się z napotkanymi obrazami,  
rozaja je wiosennymi podmuchami  
wieczorów - by zaraz pojawił się  
obraz dziewcząt przysiadłych na ławeczkach wiejskich, roześmianych  
rozśpiewanych. I niosły się rymy  
allad daleko poza horyzonty,  
wzstawały przed ciemną ścianą  
kiesiu, szukały zagubionych ko-  
hanków w topieli mgielnej, by zno-  
wu, jakby na przekór wszystkiemu  
mroczne, a co niesie życie - za-  
świecić szczęśliwym zakończe-  
niem.

I płynęły zrazu maleńkim stru-  
mieniem, potem już wezbraną rze-  
czą melodie, mieszały ze sobą czas.  
Pieśni zatopione w chabrach i ka-  
kolach, wyłożone jaskrami, rozpo-  
kładzone niebem błękitnym, zmie-  
niały swój ton i pełna buty płynęła  
teraz śpiewka, jeszcze świeża jak  
rana, ociekająca bólem i sztucz-  
nym zetempowskim optymizmem.  
Ostry uciekały przed branką, o-  
dobrej poeta miał odwagę napisać:  
z wsi, z miasteczek wagonami ja-  
ka, / zbudować hutę, wyczarować  
maszyna, / wykopać z ziemi nowe El-  
brado, / armią pionierską, zbiera-  
jąca, / hatastrą/ tłoczą się w szopach,  
karczach, hotelach/ człapią i gwiż-  
czą w błotnistych ulicach/ wielka  
migracja, skundlona ambija.../

A teraz śpiew jakby na przekór:  
budujemy nowy dom, stupiętrowy  
nowy dom... ale zaraz jakby z za-  
stydzienia ktoś wplół wiejską me-  
lodie, jakby na pokuszenie fujarki  
razem rozeschniętej przywołanej. I  
słowo obudziły się inne obrazy, jak  
wiejskie kobiecinki, zmęczone pra-  
ciami, kiedy usłyszały zaledwie kielku-  
gę śpiew, poczęły wycierać ręce w  
artuchy i sposobić się do uroczy-  
wego słuchania. Wszak w pieśni tej  
ryła się nadzieja, i wiara dawała o-  
soby znać, i miłość przymilnie ła-  
sała się nie na grzeszną, jurną śpie-  
warkę, ale na melodię rozciągniętą  
poprzez połacie serdecznej pamię-  
ci, szukającej dotyku ciepłej, przy-  
czajnej dłoni, do galopującego serca,

do głosu tęsknotą przywołanego.

Ale tamte wieczory dawno się  
skryły w niepamięci. Ławki pozos-  
stały przed domostwami. Czasami  
przysiadają na nich starzy ludzie  
czekając na powrót, bodaj na  
chwilkę, swoich pociech światem  
otwartym wywabionych. Ale po-  
wroty zdarzają się rzadko, święta  
straciły swój charakter, odpusty  
przestały być rodzinnymi spotka-  
niami. I samotne ławki, i samotne  
stare kobiety, pod niebem napęcz-  
niałym gorzką starością. I nie za-  
brzmi żadna śpiewka, *hej tam pod  
łuchom czy zaprzęgajcie chłopcy ko-  
nie, zawróćcie, powróćcie lata mło-  
de*. Czas nieubłagane pędzi, mur-  
szeją ławki, dziewczęta z mojej pa-  
mięci, pełne śmiechu niesklamane-  
go, radości melodii niczym nie tem-  
perowanych - postarzały się i  
wkrótce wsparte na kiju patrzeć  
będą w swoje horyzonty, w których  
niebo połączy się szarością ziemi. I  
przecieranie okularów nie  
przywraca tamtych  
ostrych kolorów, żywych,  
pełnych wigoru, tamtych  
zapachów i tamtych śpie-  
wów. Może na wargach  
pojawia się maleńka kru-  
szynka śpiewu, by za  
chwilę zagasnąć, zamilk-  
nąć, utonąć w zawstydze-  
niu. I wargi poczną na-  
powrót międlić zdania  
nadziei a śpiew, pewnie  
rozesłany jakimś nie-  
ziemskim technieniem,  
znajdzie gdzie indziej uj-  
ście.

Szukam, nieustannie  
tropię ślady zdarzeń  
sprzed laty - nie dozywam  
obrazów pełnych, goto-  
wych fabulatów, ale poja-  
wiający się maleńkie od-  
pryski zdarzeń. I szukam  
zapachów tamtych wio-  
sen utraconych raz na za-  
wsze, szukam tamtych  
chwil zaledwie ułowio-  
nych okiem w chwili wy-  
pędzenia z raju dzieciń-

stwa. Czasami, wraz z pierwszym  
taktem melodii, przywołam ogrom-  
ne połacie, zaludnione przypo-  
mnianymi twarzami, sytuacjami. I  
wtedy wkradnie się zrazu radosna,  
a potem z weselnego repertuaru  
śpiewka krzykliwa, jakby chciała w  
tym dniu zagłuszyć biedę, jakby  
odurzona alkoholem stawała się  
nieprzyzwoicie naga, rozebrana ze  
wstydu, przy wtórujących posapy-  
waniem bębnoch, w dusznym ła-  
niu akordeonu, wdzierając się mię-  
dzy stoły biesiadne...

I te zdarzenia staram się omi-  
nać w jesiennym wędrowaniu pieś-  
ni, tęskniącej do ciepłego pieca,  
mruczącej dawno zapomnianą ko-  
łysankę albo recytowaną bajką o  
czapli, co to chodził po desce, wielo-  
krotnie, do zmęczenia, w dudnie-  
niu, w człapaniu, w zasypianiu. I  
śnić się będzie dzieciństwo, i po-  
wrócić opowieści zdawało się dawno  
ostygłe, i powrócą ludzie, których  
tęsknota na powrót przywoła. I je-  
sień wstępująca stanie się porą ro-  
ku ważną, choć deszcz za oknem,  
może słońce spóźnione, jakby tęsk-  
niące do lata... Wspomnienia je-  
sienne jak liście opadają w czeluść  
życia.

Jan Leończuk



# Skok przez lamperię

Obiegowe powiedzonko głosi, że wszystko jest możliwe z wyjątkiem skoku przez lamperię. Jednak fakt, że w powszechnym mniemaniu coś uchodzi za niewykonalne - nie wszystkich zraza do prób. Dla śmiazków stanowi wyzwanie, a czasem jest po prostu aktem determinacji.

Najpiękniejsze jest to, że czasami (choć bardzo rzadko), ten "skok przez lamperię" się udaje. Szczęśliwy skoczek staje się bohaterem, obiektem adoracji, a czasem nawet robi karierę. Bywa i tak, że zachęcony powszechnym aplauzem delikwent skacze dalej i tak dalece wchodzi mu to w krew, że staje się główną formą publicznego istnienia. Niebezpieczeństwo jest takie, że z czasem przeradza się to w podskakiwanie, które już jednak nie bawi publiczności.

Gdyby ktoś się jeszcze nie domyślił o kim piszę - to chętnie zastąpię lamperię ogrodzeniem stoczni. Ówczesny wyczyn obecnego prezydenta RP był zaiste historyczny, nawet mimo krążących uporczywie pogłosek, że nie tyle on sam wtedy skakał, co został przerzucony. Faktem jest, że w murze nad lamperią została dziura, przez którą powiał wiatr historii, obalając jeszcze niejeden ważny mur w naszej części świata.

Potem nasz bohater wykonał jeszcze kilka udanych skoków - z czego jeden na wygodny fotel prezydencki. Od tego momentu zaczął się etap podskakiwania. Trzeba w tym miejscu koniecznie wspomnieć o aspekcie prawnym. Pozostając przy poetyce spor-

towej - ówczesne przepisy pozwalały jedynie na skoki, które miały budować, utrwać, pogłębiać, rosnąć w siłę i tak dalej. Reszta podlegała bezwzględnej dyskwalifikacji. Tak więc ten już symboliczny akt determinacji był wystąpieniem przeciwko prawu. Prawu złemu, skierowanemu przeciwko społeczeństwu, służącemu ochronie interesów budowniczych socjalistycznej pseudootopii. Ubocznym skutkiem łamania złego prawa może jednak stać się lekceważenie prawa w ogóle lub przekonanie, że prawo służy temu kto je tworzy, a nie temu dla kogo jest tworzone. Żeby wszystko miało pozory legalności, zatrudnia się kilku kauzyperdów, którzy uzasadnią prawnie każde posunięcie pryncypała. Proces ten ostatnimi czasy nosi nazwę "falandyzacji". A może "falangizacji" - nie pamiętam dokładnie, zresztą na jedno wychodzi.

Można by to wszystko skwitować



wzruszeniem ramion, potraktować jako efekt działania tumoru mózgowego, gdyby nie był to niebezpieczny plan żadnego władcy autokraty.

Przepychanki z Krajową Radą - czyli walka o najbardziej wpływowe media, podsycanie konfliktu między generalicją a szefem MON - podobnie, jak Markiewicz i wielu innych, byłym prezydenckim ulubieńcem - to zdobywanie i

umacnianie przyczółków w tych instytucjach, które pozwalają utrzymać władzę i kontrować konkurentów do niej. W zapomnienie idą wtedy niegdyś szersze czyny i rozmowy, prezydent publicznie dziękuje za najwyższy patriotyzm generalom, którzy wprowadzali stan wojenny w Polsce i bratnio pomagali Czechosłowacji w 1968 r. po nowemu definiując patriotyzm.

Jeśli nikt tym praktykom nie przeszkodzi (a nie wygląda na to, by ktoś poważnie próbował), to niedługo będziemy mieli dożywotnią dyktaturę Największego Demokrata, która - jak udowodnią liczne prezydenckie przydupasy za pomocą posłusznych już wtedy mediów - jest najwyższą formą demokracji. Naszego bezpieczeństwa wewnętrznego strzec będzie dzielnie dalej przedmurze chrześcijaństwa - ojciec Goryszewski, a granic bronić będą orkiestry dęte, bo reszta wojskowych zajęta będzie obroną stolków oraz ćwiczeniem musztry przed Belwederem. Porządek prawny zaś oparty będzie na prawie objawionym z klapy prezydenta wprost do ucha prof. Falandysza.

Co zaś tymczasem odgrywa reszta aktorów naszej sceny politycznej?

Premier kończył jesienne wykopki i podorywki co uniemożliwiło mu podpisanie programu prywatyzacyjnego oraz innych papierków i pojechał wspierać demokratów chińskich, zaś marszałek Senatu pan Struzik pojechał w przeddzień wyborów na Słowację leczyć sobie kręgosłup (oczywiście ideologiczny) u demokracji Mezcziara. Nasz demokratycznie wybrany parlament pod dowództwem tow. marszałka Oleksego, z braku innych zajęć postanowił skonstruować kaganiec dla dziennikarzy, więc następna ważna debata o aborcji może być objęta ustawą o tajemnicy państwowej. Innych ważnych tematów do debaty Sejm w zasadzie nie ma. No, może wyjąwszy ustalenie wysokości podwyżek diet poselskich.

Szefa Policji nie mamy, szefów gangów coraz więcej, ale przecież ma nas kto obronić, o czym mowa była wyżej.

Lamperie przezornie są teraz wyższe, więc następni skoczkowie mogą mieć trudniej. Warto jednak przypomnieć, że czasami skok się udaje. Przy skakaniu trzeba jednak bardzo uważać na głowę.

Roman Blank



# Lato bez sensu

Białystok tego lata przypominał metropolię. Po raz pierwszy chyba w powojennych dziejach miasta ulica Lipowa tętniła życiem nawet o północy, jak w jakimś - za przeproszeniem - Paryżu czy Madrycie. A wszystko to wina upałów, które nie pozwalały wytrzymać w rozgrzanych blokowiskach. Jednocześnie jaw wyszedł cały prowincjonalizm władz miejskich, które nie tylko nie przewidziały - bo niby jak miały przewidzieć - ale nie potrafiły błyskawicznie dostosować wielu swoich działań do takiego niecodziennego zjawiska.

Na reprezentacyjnej Lipowej działała tylko jedna kawiarnia na wolnym powietrzu, a mianowicie kawiarnia Michała Stokowskiego, położona do granic wytrzymałości. W kawiarniach pod dachem - podobnie jak w mieszkaniach - nie szło usiedzieć, ale i one robiły rekordowe obroty, bo usiąść i się napić w końcu każdy musi. Zresztą coż jest na tej reprezentacyjnej Lipowej? Na rogu pizzeria *Avanti*, druga w pobliżu komisariatu policji. I koniec. Waleńki *Journal* pomieścił góra dwadzieścia osób. *Marchanda* przy Rynku Kościuszki otwarto zbyt późno.

Pod koniec lipca ukończone były już eleganckie chodniki po jednej stronie tej spacerowej ulicy. Cóż by się stało, gdyby pewnego dnia zapełniły się one stolikami, krzesłami i parasolami? Polski biznes jest na tyle sprytny i szybki, że bez problemu w ciągu kilku dni - zorganizowałyby kilka czy kilkanaście kawiarni na świeżym powietrzu. Cóż się zatem

stało, że tak się nie stało? Niestety, błyskawiczne działanie biznesu napotyka ciągle na bezsensowny mur tępego urzędactwa.

Zainteresowani letnimi kawiarniami twierdzą, że prawdę mówiąc w tym czasie nie było z kim w magistracie rozmawiać. Jedna władza odeszła, drugiej albo jeszcze nie powołano w niekończących się rozgrywkach personalnych, albo u zarania pełnienia obowiązków ojcowie miasta nie mieli głowy do jakichś tam dupereli, do których należy zaliczyć wygodę mieszkańców Białegostoku. W tym czasie przecież przygotowywano w ciszy gabinetów dalsze zmiany na wszystkich niemalże stołkach w Urzędzie Miasta.

Tymczasem, żeby ad hoc zrobić kawiarenkę, należy udać się do Paryża, Londynu, Madrytu, Hongkongu, Malezji czy jakiegoś innego dzikiego zakątka na ziemi, ale tam problem polega na tym, że już wszystkie miejsca dawno zajęto. W Białymstoku - czyli w Polsce - trzeba przejść papierkową gehennę, uzyskać wielką kupę jakichś zaświadczeń, zezwoleń, wnieść dziesiątki jakichś opłat, a przed każdym papierem stoi zawzięty i zazdrosny urzędnik, który na swoim podwórku jest niepodzielnym panem. Kolejne wygłupy sanepidu białostockiego, których już zanotowałem kilkanaście przynajmniej, powodują, że chętny do otworzenia takiego interesu macha ręką i idzie się schlać z rozpaczą. Kiedy jeden z białostockich przedsiębiorczych ustawił eleganckie, przenośne ubikacje, podłączył je wedle sztuki szambonurkowania, nie chcieli mu dać zgody (początkowo) na dokonanie otwarcia tylko dlatego, że takich kibli jeszcze w Białymstoku ludzkie oko nie widziało. A za wschodnią granicą, gdzie się jeździ z wizytami, nie zobaczą takich cacek i za sto lat, ale to też przecież nie jest żaden argument.

Ulica Lipowa jednak nie pójdzie w zapomnienie. Teraz szuka się winnych (!) wyłożenia jej kostkami polbruk. Wynika z tego, że ktoś niepotrzebnie zrywał dotychczasowy chodnik i kładł na nim polbruk. Bo tamten był rzekomo jeszcze całkiem, całkiem. Można więc to zinterpretować w ten sposób: urzędnicy, którzy podjęli decyzję o uporządkowaniu Lipowej, wzięli łapówki od wykonawcy za zlecenie. Polbruk ma być nadal układany, ale już przez inną firmę. Tamta ponoć była brzydka i chodniki - co pokazano w prasie - troszeczkę się rozłaziły. Wprowadzić nie są to chodniki na Lipowej, a układane przed rokiem zjazdy dla wózków inwalidzkich, ale zawsze to fuszerka. Były łapówki czy ich nie było, nie nam rozstrzygać. W cywilizowanym świecie istnieje coś takiego jak prowizja od zakupu czy wykonania inwestycji, ale nie dotyczy to urzędników zlecających roboty. W naszym młodym kapitalizmie dotyczy wszystkich: urzędników, prezesów, dyrektorów, nauczycieli (np. zakup książek dla całej szkoły od jakiejś spółki), a nawet księży. Jeden przypadek jestem gotów nawet udokumentować. Ale w sumie nie o to chodzi.

Chodzi o to, że jedną stroną Lipowej nareszcie można przejść, nie narażając się na złamanie nogi czy obcasa, a reszta guzik mnie obchodzi. Obchodziły mnie kawiarnie polowe w lipcu i sierpniu, ale widać władza jeszcze do tego nie dorosła. Bo przecież na pierwszym etapie chętni do założenia lokali zastanawiali się, jakiej wysokości czynsz przyjdzie im płacić za skrawek chodnika. Czy taki sam jak ten, przez który zbankrutowało w Białymstoku mnóstwo sklepów i lokali usługowych, bo komuś miasto na kresach porąbało się z Manhattanem. A chodniki należą do miasta, podobnie jak lokale, a nawet całe kamienice. Prawdę mówiąc życzyłbym sobie dożyć takich czasów, w których ktoś - niechby i za łapówki - doprowadzi do wyremontowania, lub choćby pomalowania budynków przy Lipowej. Teraz jak się idzie obok luksusowych sklepów, strach podnieść wzrok na wysokość pierwszego piętra.

A co do rozwoju przemysłu kawiarnianego w najbliższej przyszłości, to przecież nigdzie nie jest powiedziane, że przysztoroczne lato będzie równie upalne i długie. Sie w magistracie poczeka i zobaczy.

A co do rozwoju przemysłu kawiarnianego w najbliższej przyszłości, to przecież nigdzie nie jest powiedziane, że przysztoroczne lato będzie równie upalne i długie. Sie w magistracie poczeka i zobaczy.

# A ja i tak nic nie zmienię

- Ja tak nie potrafię. - Co innego potrafisz. Zobacz, jak to odważnie malowane. - Danusia eksperymentuje, dwa całkiem różne obrazy namalowała. Jest jakaś stylizacja w tych obrazach. - Może jest stylizacja, ale ani jednego obrazka nie ma zmyślonego. To wszystko jest tutaj.

Tutaj - to okolice Pomygacz, wioski położonej 10 kilometrów od Białegostoku. 80 domów, 800 mieszkańców. W Wiejskim Domu Kultury w Pomygaczach kierowniczką pracowni plastycznej WOAK-u **Krystyna Kunicka** zorganizowała plener plastyczny. Krystyna uważa, że plenery są ważne - powodują integrację środowiska, umożliwiają instruktaż praktyczny, no i dają trochę wiedzy teoretycznej. Odkąd placówki kultury przeszły pod kompetencje samorządu, plenery są organizowane coraz rzadziej. W tamtym roku pracownia chciała zorganizować plener w Supraślu, który miał kosztować uczestników 1,5 mln złotych. Nikt się nie zgłosił. WOAK nie może organizować plenerów za darmo, a samorządy i plastyków nie stać na to, aby płacić za uczestnictwo. Dlatego w tym roku, dzięki wydatnej pomocy GOK-u w Turośni Kościelnej, uczestnicy płacą tylko 700 tys. zł - za wyżywienie; noclegi są za darmo, a płótno i farby opłaca WOAK. W plenerze bierze udział 13 osób. Krystyna żałuje, że tylko troje z nich to instruktorzy z terenowych placówek kultury, ponieważ taki plener - oprócz możliwość malowania pod fachowym okiem - daje szansę porównania doświadczeń, tego co i jak robią inni, poznania nowatorskich sposobów prowadzenia zajęć plastycznych.

Inni uczestnicy pleneru to plastycy amatorzy (w większości plastyczki), w różnym wieku, pracujący w różnych zawodach. - Nie wszyscy chcą słuchać rad - niektórzy odpowiadają: a ja i tak nic nie zmienię - mówi Kunicka.

**Barbara Lewkowska**, instruktor do spraw plastyki z Ośrodka Kultury w Mońkach, nie malowała farbami już od czterech lat, od ostatniego pleneru. W pracy prowadzi Kolo

Małego Plastyka, robi szyldy, planuje, oprawę plastyczną imprez - Co zrobisz z obrazami? Dwa muszą oddać do WOAK-u na wystawę poplenerową, jeśli zdążą namalować jeszcze jeden, zostawię go sobie.

**Regina Koper** uważa, że warto jeździć na plenery: - Nabiera się chęci do malowania. W domu maluje rzadko, pejzaży wcale, dopiero tu zaczęła. - Bardzo mi się podoba jak malują inni. Każdy inaczej, zupełnie inaczej! I towarzystwo sympatyczne. - A ludzie ze wsi? - pytam. - Obserwują nas, a my ich. - I co

rego zakwaterowano w dużym pokoju na parterze, przychodzi grupa jego fanów. Patrzą jak maluje, dyskutują.

**Jagoda Konopko** z Knyszyńskiego Ośrodka Kultury na plenerze namalowała swój pierwszy olejny obraz, bukiet kwiatów. Pani Jagoda jest znana ze swoich bukietów, którymi ozdabia pomieszczenia domu kultury. Prowadzi dwa plastyczne zespoły dziecięce i maluje na szkłe. Wypracowała sobie własną technikę, ale malarstwo olejne to całkiem coś innego - bo to



mówią? - Mówią, że ładnie malujemy. A jacy są zadowoleni, że się ich stodołę, dom, czy stogi maluje.

W Wiejskim Domu Kultury, gdzie mieszkają, codziennie są dys-

jest kolor.

Jagoda Konopko poznała tu także człowieka, którym jest zachwycona. - Nie często można spotkać człowieka tak otwartego i tak sym-



koteki. Z Turośni nawet przyjeżdżają, przywożą swoje dziewczyny na motorach. Do pana Janka, któ-

patycznego jak on. Nazywa go samotnym odyńcem. **Michał Więcko** od lat pisze kronikę Pomygacz. Nie

# Spotkania nad Świtezią 1994

Po raz drugi miłośnicy twórczości Adama Mickiewicza i dziejów ziemi nowogrodzkiej spotkali się 15 lipca br. w Nowogrodzku. Organizatorzy uczynili wszystko, aby gości z Polski otoczyła atmosfera serdeczności i swojskości zarazem. Wśród polaków największą grupę stanowili pracownicy naukowcy, głównie poloniści z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. To u nich w zeszłym roku gościli organizatorzy // *Spotkań nad Świtezią* wywożąc z Wielkopolski, po której wędrowali szlakiem wieszczą, niezapomniane wrażenia. Obok poznaniaków byli też przedstawiciele środowisk uniwersyteckich z Warszawy, Torunia i Lublina (KUL). Niestety zabrakło białostoczian. Byłem jedynym przedstawicielem naszej Filii, i w ogóle Białegostoku. A przecież białostoczanie stanowili w 1992 r. największą grupę uczestników.

Pierwszego dnia *Spotkań* odbyła się konferencja naukowa. Treść referatów dotyczyła twórczości Adama Mickiewicza, ale nie tylko - były akcenty związane z ziemią nowogrodzką, było także i o Tadeuszu Kościuszcze (przecież też pochodził z Kresów), i o Henryku Sienkiewiczu jako obrońcy Kresów Zachodnich. Konferencję prowadziła w imieniu nieobecnego Ryszarda Kacynela, przewodniczącego Komitetu Pamięci Adama Mickiewicza w Grodnie, Maria Aranowicz.

Po południu pojechaliśmy nad Świteż. Jezioro, pełne kąpiących się, nie wydawało się tak romantyczne i tajemnicze jak poprzednim razem, kiedy przybyliśmy tam o zmierzchu. Trudno jednak nie ulec czarowi tego miejsca. Siedząc w cieniu drewnianych altanek, zapatrzeni w niebieską toń Świtezi mogli-

śmy oddać się dyskusji o Mickiewiczu, Kresach, Polsce i Białorusi. Ociągając się wracaliśmy do Nowogrodzka, gdzie czekała nas miła niespodzianka. Podczas kolacji wystąpił miejscowy chór polskich kobiet. Śpiewały pieśni bliskie naszemu sercu, znane nam od dziecięcych lat. Nie szczczędziliśmy im oklasków. Po kolacji wybraliśmy się na nocny spacer po Nowogrodzku, na wzgórze zamkowe i Kopiec Mickiewicza. Następnego dnia zwiedzanie miasta; obok wspomnianych miejsc byliśmy w Muzeum Adama Mickiewicza, po którym oprowadzała nas jego dyrektor Lilia Usenko. Potem wyruszyliśmy w podróż na trasę: Nowogród - Lida - Bieniakonie - Bolcienniki - Woronowo. W Lidzie zaproszono nas do miejscowego browaru, na doskonałe chłodne piwo. Rozkosz była wielka. Pożegnaliśmy się z miastem przy niedawno wzniesionym pomniku Adama Mickiewicza. W Lidzie towarzyszył nam przedstawiciel tamtejszego oddziału Związku Polaków na Białorusi oraz oddziału Białoruskiego Funduszu Kultury.

W Bieniakoniach odwiedziliśmy na tamtejszym przykościelnym cmentarzu grób Maryliz Wereszczaków hr. Puttkamerowej. W Bolciennikach gdzie znajduje się pałac, dawna siedziba rodu Puttkamerów, powitała nas białoruska kapela ludowa, która towarzyszyła nam podczas uroczystego bankietu, zwiedzania parku dworskiego i tańców. Nazajutrz po noclegu w Woronowie wyruszyliśmy do Grodna. Na pożegnanie pokazano nam miasto, barokowy kościół farny i zamek Batorego. Na starym cmentarzu katolickim pokłoniliśmy się przed mogiłą Elizy Orzeszkowej i oddaliśmy hołd żołnierzom polskim poległym podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. Pożegnano nas w Domu Elizy Orzeszkowej, zapraszając znów nad Świteż i Grodzieńszczyznę.

W przyszłym roku mamy spotkać się ponownie w Poznaniu, a także w Toruniu. I tak będziemy się spotykać raz w Polsce, to znowu na Białorusi do 1998 r. kiedy świętować będziemy dwusetne urodziny Adama Mickiewicza.

Ali Miśkiewicz

Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

**W** marcowym numerze *Styki* zamieściliśmy fotoreportaż z pobytu na Białostocczyźnie francuskiego zespołu folklorystycznego *Lou Rampeu* z Saint-Tropez. Pieśni i tańce starofrancuskie z okręgu śródziemnomorskiego oglądali widzowie Supraśla, Bielska Podlaskiego, Czeremchy i Białegostoku. Wspólny kulig z naszymi *Kurpiami Zielonymi* po Puszczy Knyszyńskiej był zapowiedzią folklorystycznej przyjaźni i początkiem kontaktów artystycznych.

W lipcu bieżącego roku Zespół Pieśni i Tańca Białostocczyzny *Kurpie Zielone* udał się z rewizytą do Prowansji nad Morze Śródziemne. Promocyjny autokar volvo z białostockiego PKS-u zapewniał dobry standart podróży na ponad 2400 km trasie Białystok - Saint-Tropez. 46-osobowa ekipa *Kurpii Zielonych* pod kierownictwem Andrzeja Dyrdała i Wiesława Dąbrowskiego wyruszyła do Francji w lipcowy poranek, w umiarkowanym upale.

Przygody i niespodzianki w czasie artystycznych wojaży są osnową kronikarskich zapisów i wspomnień. W 41-letnim życiorysie *Kurpie Zielone* mają ich kilka tomów, skrzętnie odnotowanych. W czasie dwudziestej dziewiętej podróży zagranicznej zdarzyło się coś, czego kroniki zespołu nigdy jeszcze nie zanotowały. Na trasie Wrocław - Zgorzelec zderzyliśmy się z rzeczywistością w sposób jak najbardziej brutalny.

Siedząc z przodu miałem ogłęd na to, co się działo przed autokarem na trasie. Nagle volvo staje w miejscu, dzięki wspomaganemu hamulcowemu typu ABS. Przed maską autokaru pojawia się łada, która w kilku sekundach znalazła się w rowie. Uniknęliśmy czołowego zderzenia. Wybiegamy z autokaru. Z łady wynurza się rosyjski kierowca, który wyjąc z emocji błaga nas o pomoc. Przyczyną jego stanu psychicznego była 3-osobowa grupa piratów, która terroryzowała go od granicy w Zgorzelcu. Z belkotu rosyjskiego kierowcy wyławialiśmy wątki konfliktu. "Zabiercie mnie, bo mnie ubiju" - krzyczał Rosjanin. Nasi kierowcy podejmują szybką akcję. Biorą siłą jednego z piratów do autokaru, w sprawną ładę usadawiają rosyjskiego kierowcę. Jedziemy na policję do Zgorzelca! Za nami łada i volkswagen piratów. Zatrzymujemy się przy Komendzie Rejonowej Policji w Zgorzelcu. Informujemy o zajściu dyżurnego policjanta, który błyskawicznie skuba w kajdanki zakładnika piratów. Następuje proces wyjaśnień i przesłuchań. Po złożeniu stosownych oświadczeń ruszamy na granicę, zostawiając w dyspozycji policji piratów i rosyjskiego kierowcę.

Po raz pierwszy *Kurpie Zielone* odnotowują w kronikach spotkanie z mafią. Opatrzność czuwała nad nami. Z przygody wyszliśmy bez

szwanku, ratując życie człowiekowi.

Jedziemy poprzez Drezno do francuskiej Miluzy, gdzie mamy nocleg.

### Hotele Formuły 1

Są to skromne, ale bardzo funkcjonalne obiekty przeznaczone dla turystów podróżujących po Francji. W pokoju 3-osobowym znajdują się miejsca noclegowe, umywalka, telewizor i niezbędne meble. Na skromnej powierzchni użytkowej wkomponowane jest to, co niezbędne dla odpoczynku na trasie.

Zamknięcia do pokoiów wyposażone są w system komputerowy, który wymaga pamięci od użytkownika. Znajomość kodu bowiem jest warunkiem wejścia do swojego pomieszczenia.

Za dobę płaci się 130 franków. Z firmowego przewodnika Formuły 1 wywiedziałem się, że tego typu hoteli na terenie Francji jest 280.

W Saint-Tropez zakwaterowano nas w hotelu *Maeva*, który również odznaczał się specyfiką przyjmowania gości. W większości jego mieszkańcami byli wczasowicze francuscy i zagraniczni z rodzinami. Mieszkaliśmy w pokoju czteroosobowym z piętrowymi łóżkami i z pełnym wyposażeniem kuchennym. Łazienka, toaleta i obszerne patio osłonięte tujami uzupełniały naszą "ambasadę" w Saint-Tropez. Zabrakło radia i telewizora. Gospodarze obiektu świadomie nie zainstalowali instrumentów masowego przekazu, aby użytkownikom zapewnić maksimum spokoju. Musieli się do tych wymogów dostosować *Kurpiacy*, którzy nocne Polaków rozmowy prowadzili szeptem.

Poranne posiłki robiliśmy sami, mając do dyspozycji kuchnię gazową, lodówkę i cały zestaw niezbędnych sprzętu gospodarstwa domowego. Śniadania miały w zasadzie podobny jadłospis. Kawa, herbata, bagietki, serek, mleko i powidła.

Również czynności higieniczne goście *Maevy* wykonują sami. Sprzątanie, zmywanie i usuwanie śmieci należy do obowiązków mieszkańców hotelu.

### Co jedzą Francuzi?

Po koncertach organizatorzy z zespołu *Lou Rampeu* zapraszali nas do swojej siedziby na posiłki. Zdarzały się także przyjęcia. W czasie jednego z nich w miejscowości Grimaud miejscowy mer wydał raut na 200 osób. Oprócz nas biesiadowali rzeźmieśnicy, dla których koncertowaliśmy w czasie Święta Pieczenia Chleba.

W plenerowej restauracji, zorganizowa-

wanej przez objazdową firmę rozrywkową *Pub-Bal*, serwowano kolejno: ziemniaki w mundurkach, gotowaną marchew z kalafiorem, prażoną kukurydzę, majonez z czosnkiem, rybę w zaprawie octowej, lody, kawę i wino. Wino jest napojem codziennym Francuzów. Wypijają duże ilości tego trunku do posiłków, w czasie spotkań rodzinnych i towarzyskich, a także przyjmując gości. Z owoców najbardziej popularne są brzoskwinie, oliwki, arbuzy, banany i melony.

### Upały!

Rekordowa temperatura, jaka nas dotknęła, sięgała 44°C. Początkowy entuzjazm kąpieli słonecznych i morskich został zastopowany poparzeniami. Aby ich uniknąć wypracowaliśmy własną metodę opalania. Oto ona: 15 minut kąpieli słonecznych, 15 minut pływania, prysznic i 15 minut cienia. W przypadku licznych opa-

# STYKI I W SAINT

rzeń słonecznych należy się ratować kremem *Biafine*, który łagodzi skutki nadmiernego opalania. Nasi *Kurpiacy* chętnie korzystali z jego dobrodziejstwa.

W czasie kąpieli w Morzu Śródziemnym można zetknąć się z meduzami. Te niewinnie wyglądające żyjątka potrafią użyć jadu, który powoduje oparzenia i silne zaczerwienienie ciała. Usadawiają się na dnie morza w formie grzybków i przy zetknięciu z człowiekiem reagują natychmiast. Meduzy nie odstrasza jednak zwolenniczek toplesu, których obecność na plażach należy do normalności. Nasi po cichu też tego praktykowali (one).

### Ceny!

Począłowa - 1,60 F, znaczek - 2,40 F, banany - 25 F, czereśnie - 48 F, truskawki - 24 F, coca-cola 16 F, piwo 15 F, CAMELE - 15 F, buty od 50 do 700 F, okulary słoneczne - 700 F, okazjonalne koszulki St. Tropez - 50-100 F, wstęp do muzeum - 25 F, Wino od 50 do 250 F.

Szokiem dla nas była cena parkowania naszego autokaru. Za dobę opłata wynosiła 400 F, czyli ok. 80 dolarów, czyli ok. 1.700.000 zł. Przejazdy autokarami są także wysoko opodatkowane. Przeciętny Francuz zarabia około 6000 F.

Saint-Tropez jest w lecie miejscowością bardzo drogą. Logika cen wynika z

praktyjności ofert turystycznych śródziemnomorskiej Mekki wypoczynku, a także tego, że latem musi ono zapracować na martwy sezon zimowy. Do pięciotysięcznego miasteczka w sezonie przybywa około 100 tysięcy przyjezdnych turystów, którzy w pełni chcą korzystać z lokalnych atrakcji. A to kosztuje!!! I to słono.

## Saint-Tropez

Położone jest nad Morzem Śródziemnym, między Marsylią, Cannes i Niccą. Początek powstania grodu sięga V w. p.n.e. Posiada w historii i architekturze wpływy greckie. Świadczy o tym początkowa nazwa Atenopolis. Ważną rolę w historii miasteczka odegrali Fenicjanie. Do zabytków najczęściej odwiedzanych zalicza się przeczka, port rybacki i fort, z którego oglądać można malowniczą panoramę basenu śródziemnomorskiego.

Region, w którym położone jest Saint

## Koncerty

Najbardziej prestiżowym był plenerowy koncert *Kurpi Zielonych* na Starym Mieście w Saint-Tropez. Młodzi artyści, niesieni falą wieczorowego aplauzu widowni, dynamicznie kręcili polki, fafury, olendry, krakowiaki, oberki i powolniki. Stroje rzeszowskie, krakowskie, kurpiowskie i podlaskie zachwycaly widzów różnorodną gamą ludowych haftów, a także tęczą naturalnych kolorów. Spontanicznie reagowali na wydarzenia sceniczne członkowie miejscowego zespołu *Lou Rampeu*, który także wystąpił przed publicznością.

Niepowodzeniem zakończył się koncert wieńczący Święto Pieczenia Chleba w Grimaud. Zaprojektowany na godz. 18.00 występ oglądała garstka widzów. Chwiejąca się pod stopami tancerzy estrada w każdej chwili groziła zapadnięciem. Na całe szczęście obyło się bez kontuzji nóg, nato-

miast ucierpiałoby obcas dwójki tancerki. Po koncercie staraliśmy się dobiec u gospodarzy przyczyn tej organizacyjnej wpadki. Z mglistych wyjaśnień wynikało, że koncert był zakontraktowany przez mera Grimaud i on decydował o jego czasie. Dodać należy, że estrada usytuowana była w pełnym słońcu, a temperatura sięgała 38°C.

Nie mieli szczęścia *Kurpiacy* do estrady także w Cogolin. Była ona nierówno usytuowana, co sprawiało wrażenie tańczenia "pod górę". Za to było profesjonalne oświetlenie, nagłośnienie i tropikalna scenografia w postaci autentycznych palm. Widownia składała się z kuracjuszy, wezasowiczów i sporej grupy Marokańczyków. W Cogolin najokazalej zagrały stroje. Wśród tancerzy dało się zauważyć lekkie znużenie upałami.

W Gassin były sprzyjające warunki klimatyczne. Miasteczko położone w górach posiada własny mikroklimat. Kameralna scena stwarzała dobre warunki do prezentacji suity krakowskiej, rzeszowskiej, Kurpiów i Podlasia. Widownia doceniła wysiłki młodych artystów i z aplauzem przyjęła prezentowany program. Na podkreślenie zasługuje fakt, że organizatorem naszego występu był Polak Mieczysław Zubrzycki. Mając 17 lat wyemigrował z Polski i na stałe osiedlił się we Francji. W Cassin pełni funkcję wiceburmistrza i organizatora *Programme des Festivites '94*, czyli artystycznego lata w gminie. Wśród propozycji ujętych w programie zauważyłem wizyty w Cassin zespołów

z Meksyku, Estonii, Belgii i Francji.

Na zakończenie *Kurpie Zielone* występują w portowym Saint-Maxime, gdzie oklaskuje je ponad tysięczna widownia. Położony tuż nad morzem amfiteatr nie ma właściwego nagłośnienia. Pieśni i tańce naszego zespołu musiały konkurować z pobliską dyskoteką i głośnym warkotem przejeżdżających samochodów. Z reakcji widowni sądzić można było, że dokonała właściwego wyboru i zespół przyjęła sympatycznie.

Atrakcją dla nas było pojawienie się orszaku ślubnego homoseksualistów oraz powrót do bazy nocnym rejsem statku żegluga morskiej. Było co podziwiać.

## Atrakcje turystyczne

Tuż po przyjeździe do Saint-Tropez gospodarze zawieźli nas do Grimaud na festyn ludowy, zorganizowany przez Cech Piekarzy. Byliśmy świadkami procesu pieczenia chleba z pełnym rytuałem obrzędowym.

W tej samej gminie podziwialiśmy francuską Wenecję, czyli port zbudowany od podstaw w 1967 roku. Zachowana tradycyjna architektura budowli, malownicze kanały i znakomite wkomponowanie portu w naturalne środowisko przyrodnicze zachęca turystów do przejażdżek wodnymi tramwajami. Imponująco prezentowały się jachty różnych bander świata. Na niektórych cackach żegluga pasażerskiej zauważyliśmy nawet helikoptery.

Kontrastem do współczesności była wizyta w Thoronet. Położony wśród gór klasztor cystersów z XII w. zachwycał prostotą romańskiej architektury i ciszą zakonnej medytacji. W głównej kaplicy przekonaliśmy się o znakomitej akustyce budowli.

Zaśpiewana przez *Kurpiaków* Rota wzbudziła wzruszenie wśród wykonawców i zachwyt wokalny wśród słuchaczy. *Nie rzucim ziemi...* odbijało się echem po gotyckich łukach kaplicy i niosło w dal do rodzinnych domów naszych. Pieśni wtórowały metaliczne odbicia od XII-wiecznych ścian i zlewały się w całość, jak muzyka organowa w oliwskiej katedrze.

Swoistą formą gościnności francuskich gospodarzy były poczęstunki na trasie koncertowej. Ekipa towarzysząca *Kurpiom Zielonym* w plenerze montowała stoły i kontenery z jadłem. Napoje i wino, którego było pod dostatkiem, zawsze było schłodzone. Codziennie mieliśmy inną trasę, inną ekipę towarzyszącą i odmienne plenery.

Saint-Tropez pożegnaliśmy osmaleni przez soleil, oczarowani widokami, doświadczeni samorządową organizacją *Lou Rampeu* i serdecznością gospodarzy. Efekty dźwiękowe z pobytu we Francji skrzętnie rejestrował Andrzej Danilczuk z Polskiego Radia Białystok FM, a fakty zebrał i opisał

Kazimierz Maksymilian Derkowski

# PRZYTYKI TROPEZ

Tropez (Święty Tropez) - nazywa się Provensja i w większości zamieszkiwany jest przez katolików.

W sezonie turystycznym rytm życia turystów i przejezdnych wyznacza soleil czyli słońce. Przed południem plaża, po południu spacer i przejażdżki statkiem, wieczorem do późnej nocy - kawiarnie, puby, kluby nocne i rozrywka. Ma Saint-Tropez powszechnie znanych mieszkańców. To tu charytatywną działalność prowadzi sławna francuska aktorka filmowa - Brigitte Bardot. Tuż nad morzem znajduje się budowla, która w przeszłości była własnością Charlesa Aznavoura. Jak twierdzą w tajemniczeni, musiał z niej zrezygnować ze względu na wysokie podatki. Aktualnie mieszkuje ona na nowego nabywcę. W centrum grodu kręcono znany serial filmowy, którego głównym bohaterem był Louis de Fines. Realizację filmu *Żandarm w Saint-Tropez* zapoczątkowano w roku 1964, a zakończono w 1982 roku.

Saint-Tropez zarządza mer Jean Michel Cuve, który przyjmował *Kurpie Zielone* na spotkanie w swojej rezydencji.

Najczęściej używanym słowem jest ça va, które podkreśla zadowolenie z pobytu na Lazurowym Wybrzeżu. Używaliśmy go bardzo chętnie i często, gdyż były do tego słowne powody.

To niewiarygodne wprost, aby w tych brutalnych, brudnych i zaśmieconych czasach udało się przeżyć takie piękne dni, jakie przypadły w udziale uczestnikom **II Samorządowego Spływu Kajakowego Dolną Górnej Narwi**.

W ciągu ośmiu dni przepłynęliśmy 160 kilometrów. Nie można tej oktawy porównywać z żadną wycieczką krajoznawczą, czy turystyczną wyprawą. Zanurzaliśmy się bowiem w piękno ziemi dotąd nieznanej, choć tak bliskiej. Obserwowaliśmy też wokół i w sobie samych dziwne, irracjonalne zjawisko. Otóż byliśmy bliźniutko swych domów, a jednak obcując z przyrodą i klima-

był ten wstęp zachęcający. Brzegi akwenu, bielejące od śniętych ryb (skutek przyduchy), fetor i zaczątek śmietnika przyprawiły nas o rozpacz. Co będzie tutaj za kilka dni, za tydzień, za miesiąc, kiedy sława "jeziora" rozejdzie się po okolicy? Hołubiliśmy jednak w sercach nadzieję, że dalsze kontakty z naturą wynagrodzą nam początkową przykrość. Mieliśmy wszak spotkać krajobraz "mniej oswojony" i kraj nie tak bardzo "cywilizowany".

Narew nie zawiodła nas.

\* \* \*

II Spływ Kajakowy pomyślany

gulaminem Parku, a turystyka.

\* \* \*

Pokonując odległości siłą własnych mięśni, czuliśmy się jako turyści "lepsi" na przykład od samochodziarzy. Sprawy bytowe mniej nas zajmowały. Jedliśmy, co gospodarze podali, co znalazło się w plecakach, co udało się upichcić. Spaaliśmy i w remizie, i w sali gimnastycznej, w pałacu hrabiowskim i na plebanii, w klasie szkolnej i w sali tanecznej ośrodka kultury, w domu myśliwskim... Komu się nie podobało, rozbijał namiot.

Zachwycała rzeka i jej królestwo.

## Kłaniały się grązele złociste...

tami Górnej Narwi odczuwaliśmy dziwnie zwiększoną odległość, nadrealną jakąś dal i odmienność oceany świata. Nagle zbyt czyste okazały się media, nikt nie biegał za gazetą, nie nasłuchiwał radia, nikt nie pożytał informacji na temat co rzekł Clinton, czy co powiedział Lechu.

Wprzęgnięci w ordynek kajakowej kawalkady wchłanialiśmy jakąś inną atmosferę i sami byliśmy inni. Sprawiała to otoczka niecodziennosci i najprawdziwsza egzotyka. Czy oddziaływała na nas ta pyszna bagienna roślinność, czy bijąca w nozdrza upalna zawiesistość powietrza, czy może owe - z pieśni Polesia zapamiętane - opary, co to "z wód powstają"...

Było chwilami tak, jakby ktoś na nas rzucił czar.

\* \* \*

Trzydziestkę uczestników spływu powitał Zalew Siemianówka. Tam miało miejsce pierwsze umoczenie białych ciał i pierwsze zdezerzenie z wakacyjną przyrodą. Nie



był jako typowa akcja propagandowa, której uczestnicy degustują istotę rzeczy równocześnie przedkładając ją innym. Mieliśmy mówić mieszkańcom nadnarwiańskich wsi i miast - najczęściej odwróconych tyłem do rzeki - o Narwi, jej pięknie i o tym, jak to piękno wykorzystywać, by służyło człowiekowi. To może paradoks, ale mówiliśmy to ludziom, których kolebką jest ta właśnie rzeczna dolina. Rozmawialiśmy z przedstawicielami władz miejscowych, nauczycielami, poetami, duchownymi, artystami, rolnikami, historykami i przygodnymi gapiami. Wymienialiśmy poglądy, dzieliliśmy się spostrzeżeniami; rozdziła się zażyłość i porozumienie. Wybiegaliśmy myślą w nadchodzące lata, kiedy powstanie już Park Narwiański i zatroskani myśleliśmy o relacjach między ideą i re-

Lirycznie zdumiewały swą dziewiczą świeżością kwiaty narwiańskie, niespotykana gdzie indziej złocista żółtość grązele i nieskalana biel lilii wodnych. Jeszcze kosaciec, storczyk i wielosił. Kielichy tego kwiecica dygały wdzięcznie poruszone ruchem wody, jakby witając gościnnie hałaśliwą ludzką gromadę. A pewnego dnia, po przedarciu się przez szuwały, niemal ślizgając się kajakami po gęstwinie roślinności, znaleźliśmy się na ukrytym przed ludzkimi spojrzeciami jeziorze. Z trzepotem skrzydeł umykały przed nami spłoszone ptaki wodne. Zapadła cisza, którą wymusiła sama przyroda, miejsce samo. To była ostoja wodnego ptactwa. Uroczysko. Trudno wymyśleć trafniejsze określenie. Element krajobrazu, który zmusza do medytacji. I tylko z kronikarskiego obowiązku wspo-

me, że to właśnie tutaj omal nie utonąła kamera wideo. Ale nie utonąła i nie utonął operator: żyją, działają i mają się dobrze.

Były też sprawy, które irytowały z tymi godzi się obejść krótko, choć bez pobłażania. Bezsilny gniew buzieli liczni kłusownicy, którzy wszystkimi możliwymi sposobami i zarządzeniami wyciągali z wody wszystko co miało skrzela, pletwy i szczypce. Irytowały nader liczne koloralitrone plastikowe butelki, które najwidoczniej zbłądziły już pod strzechy, a część ich pozostawili turyści. Obezwładniały też tnące perfidnie gzy.

Zebrał się na tym spływie wyjątkowo dobrany "skład ludzki". Choć charaktery (a i charakterki) były mocno zróżnicowane, to w aspekcie współżycia i umiejętności "bycia w gromadzie" stanowiliśmy monolit. Ale jak tu kogoś wyróżniać? Jak wyznać po nazwiskach?... Ważniejsze jest, że ludzie się zżyli, dali się poznać, mówili o swej pracy, marzeniach, planach. Wyszło na jaw, że jeszcze w czasie trwania spływu, że większość już myśli o następnym spotkaniu na rzece w lecie roku 1995. Trudno się było rozstać. Pożegnanie - tak to odczuliśmy - było gdzieś pośpieszne, coś jakby się urało...

Wspomnienia zweryfikuje czas.

\* \* \*

27 września spływowicze spotkanie się w Tykocinie. Wyrażali obawy losy Narwi, w której coraz mniej wody, co grozi zniszczeniem istoty Karwiańskiego Parku. Dalsze ubytki zasobów wodnych unicestwią ten, unikatowy w skali europejskiej, przyrodniczy fenomen. Uczestnicy spływu postulują przedłożenie swoich obaw i obiekcji na forum Wojewódzkiego Sejmiku Samorządowego. Ustalono także, że musi się odbyć następny, III Spływ wraz z równoległą wyprawą rowerzystów. Sprawozdanie z II Spływu przekazano jurorom drugiej edycji konkursu *Małe Ojczyzny - tradycja dla przyszłości*. Nasza impreza była bowiem także formą udziału w tym konkursie.

A Narew?

Narew płynie. Dolina przeżywa gromadne jesienne przeloty ptaków. Wkrótce zaczną przygotowywać się do zimy.

Zula Brzezińska

# Co w prasie piszczy

## Tarnów raz jeszcze

Po raz kolejny Tarnów był miejscem spotkania redaktorów prasy lokalnej z całej Polski. Prawie w całości poświęcone ono zostało przybliżeniu procesów związanych z obsługą programów komputerowych służących do składu i łamania gazety. Dla osób pracujących w tych programach na codzień była to okazja do wymiany poglądów, uwag, pokazania różnych możliwości. Dla pozostałych spotkanie stało się bardzo pożyteczną lekcją pracy z komputerem.

Oprócz tego, podczas spotkania, wyjaśniono wątpliwości jakie wynikły podczas zapoznawania się z projektem statutu Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Prasy Lokalnej (projekt ten został już zarejestrowany w sądzie).

Akcentem rekreacyjno-wypoczynkowym stała się wizyta na Słowacji oraz uroki wspaniałego uzdrowiska, jakim jest Iwonicz Zdrój.

Szkoda tylko, że swój akces przystąpienia do Stowarzyszenia Prasy Lokalnej wyraziło niewiele tytułów z województwa białostockiego. Koszt tego jest niewielki, a korzyści ogromne. Do tychczas w szkoleniach uczestniczyli przedstawiciele gazety *U źródeł Krynki* oraz nowopowstającej gazety *Echo Michałowa*. Redakcje tych gazet najbardziej dostrzegają potrzebę pomocy, szkolenia, wymiany doświadczeń. Taki cel postawiło sobie wspomniane już wcześniej Stowarzyszenie. O tym, w jaki sposób można nawiązać kontakt ze Stowarzyszeniem i na jakich zasadach wstąpić, pisałem w dwu poprzednich numerach *Styku*.

## Na naszym podwórku

Województwo białostockie może poszczycić się dużą liczbą tytułów prasy lokalnej. W porównaniu z innymi

województwami mieścimy się w czołówce drugiej dziesiątki. Białostockie Centrum Prasy Lokalnej gromadzi informacje o ukazujących się tytułach, kompletuje w roczniki przysyłane na adres Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury poszczególne numery. Tu też można skorzystać z pomocy i porady dotyczącej składu komputerowego tekstu, druku itp.

Istnieje możliwość składu komputerowego gazet w oparciu o Pracownię Komputerową WOAK. Ceny są umowne i konkurencyjne w stosunku do innych instytucji. Szczególne preferencje mają redakcje gazet lokalnych, działające przy terenowych ośrodkach kultury woj. białostockiego. Pracownia nie jest duża, posiada jedynie dwa stanowiska do składu, dlatego też nie obejmuje swoimi usługami wszystkich chętnych. Kilka tytułów może jednak przyjąć do składu.

## "Kalamarz"

Na początku października ukaże się pierwszy numer nowego pisma *Kalamarz*. Jest ono adresowane do uczniów szkół podstawowych woj. białostockiego. Redakcja mieści się w siedzibie Młodzieżowego Domu Kultury, ul. Warszawska 79"A", tel. 327-949 w Białymstoku. Według założeń ma to być pismo integrujące młodzież szkół podstawowych województwa białostockiego. Wśród autorów mile widziani są uczniowie posiadający uzdolnienia literackie. Tematyka ogólna, wszystko co dotyczy życia szkoły, sportu, turystyki, kół zainteresowań. Fachową pomoc i opiekę zapewnia Kuratorium.

I w ten oto sposób kalamarz wrócił do szkół. Godna podziwu pochwała tradycji. Nowemu pismu Białostockie Centrum Prasy Lokalnej życzy samych sukcesów i materiałów na szóstkę.

Krzysztof Ostaszewski

# Pierwsza miłość

Szlachetny cel przyświecał **Janowi Zarzeckiemu**, kiedy składał kolejne stronicie powieści *Jego pierwsza miłość*.

Nic nie udając, nie pozując na awangardę, nie zapożyczając u nikogo - napisał książkę według własnej recepty, własnej kompozycji i pomysłu.

W postwowie otwarcie przyznaje się, że zamierzył i wydał powieść moralizatorską, a uczynił to programowo i konsekwentnie. To wyznanie zamknie niewątpliwie usta krytykom, którzy mieliby ochotę zarzucić autorowi na przykład nadmiar uświadamiających i moralizujących wtętwów, przeszkadzających miejscami w pasjonowaniu się akcją. Zaś akcja, a raczej fabuła udała się Zarzeckiemu nadzwyczaj. Wydarzenie, które legło u podstaw książki, daje możliwość interesującego prowadzenia poszczególnych wątków, a także rozwijania charakterów głównych postaci. I nie uczynię autorowi zarzutu z tego, że bohaterowie skrojeni zostali według miary "prości ludzie". Tu zastosowano zasadę: zawiła intryga - proste charaktery. I to rozumiałe. Zawile, potamane charakterystyki postaci, przy "pokręconej" fabule utrudniłyby i zaciemniły pożądaną klarowność narracji.

Główny bohater - Antoni - to właśnie człowiek "prosty", co należy rozumieć jako charakter osobowości, zmierzającej prostą drogą do celu, kierujący się uczciwością, a nawet pewną szlachetnością. I już tej prostoty wystarczy, aby bardzo pokomplikować sobie życie, a książkę uczynić intrygującą.

Opowiadanie fabuły to kiepski dowcip w stosunku do tych, którzy wezmą tę książkę do ręki i zechcą ją przeczytać; będę więc ostrożny w

"uchylaniu rąbeków" tego, co w powieści stanowi główny walor.

Dodajmy jeszcze, że drugi - w zasadzie też główny - bohater, czyli Basia, również podporządkowuje się rygorom "prostego człowieka", oczywiście z uwzględnieniem kobiecych przypadłości: wahań, braku logiki postępowania, porywów i pustych choć pięknych gestów. Intryga, właśnie, utkana jest z takiej materii, w której zderzenie prostoty męskich postępków z niezdecydowaniem kobiety powoduje nieznośne dla obojga powiktłania.

Jan Zarzecki napisał książkę, sam ją wydał i tym uczynił zadość pewnej teorii, która chce przekonać o tym, że każdy człowiek nosi w sobie książkę; jedną książkę życia. W niej zawarte są najważniejsze myśli i przemyślenia, uogólnienie praktyki, zbiór wniosków na własny i innych użytek, pełny wachlarz rad.

Ale czy każdy tę książkę napisze? Niestety nie - a szkoda - wzbogaciłoby to naszą wiedzę o człowieku. *Homo unius libris*, człowiek jednej

książki... Czy należy dociekać z pretekstem czemu tylko jedną? Czy też ze zrozumieniem i szacunkiem docenić, że jednej książki starczyło, by opowiedzieć siebie i etosowi swemu postawić kropkę po ostatnim słowie ostatniego rozdziału?...

*Życie, jak zamknięta księga...* Mówi się tak przecież o bytach uogólnionych, dopowiedzianych do ostatniej myśli.

Nie wiem, czy Jan Zarzecki podejmie kolejną książkową próbę. Jeśli nawet nie, to niechaj będzie pewien, że książka, którą nam podarował i którą po sobie pozostawi, rysuje wyraźny ślad egzystencji i myśli pewnej wrażliwej i szlachetnej, uczulonej na prawdę, osobowości.

**Andrzej Z. Brzeziński**

Jan Zarzecki *Jego pierwsza miłość*, druk i oprawa Mazowieckie Zakłady Graficzne; Wysokie Mazowieckie. Nakładem Autora. Dąbrowa Białostocka 1993.

## WYJŚCIE

Agata spojrzała na pokój. - Nie nawidzę tego mieszkania - myślała. Dwa małe pokoiki w Domu Asystenta zapchane do granic wytrzymałości. Nawet jeśli ułożyłaby te wszystkie rzeczy we względnym porządku i tak sprawiałaby wrażenie chaosu. - Po prostu nic się nie da zrobić - mówiła.

Teraz jeszcze ten pies, który również był przeciwko Agacie - bątał w sposób nadzwyczajny, jak gdyby nie chcąc dać się wyprzedzić reszcie domowników. W radio pobrzmiwał walc Brahmsa i nagle zapragnęła odejść na czystej fali dźwięków jak najdalej od zagracozonego mieszkania, od własnego zagracozonego życia. - Tyle w nim przy-

padkowych ludzi i sprzętów - pomyślała zdziwiona własnym odkryciem. Chociażby Tomek, wieczny naukowiec. Wyszła za niego za mąż bez miłości, na złość tamtemu, co się w końcu zdarza. Ale tamten i tak zaraz zginął w wypadku samochodowym. Tomek, który obiecywał jej wiele, nie tylko, że nic nie robił, ale był nieużyteczny w każdej domowej sprawie. Iwonę urodziła w rok po ślubie, było to dziecko bardzo chorowite. Właściwie Agata nie pamięta dnia, żeby małej coś nie dolegało. Katary, zapalenia oskrzeli, lamblii... Potem pies, który też miewał rozliczne dolegliwości. W tym wszystkim miotła się Agata - poogryzane meble, kaszlące dziecko, kolejna ekspedycja naukowa Tomka, za ścianą ktoś bębni na pianinie, lodówka popsuta. W przedpokoju wisi lustro, gdzie widzi codziennie swoją więdnącą urodę. Ale nie to ją frapuje od kilku tygodni.



Przemierzając tysiące razy w różnych kierunkach mieszkanie zerka w okno. Widać za nim bezkresną szaro-błękitną przestrzeń. Żadnych domów, ludzi, ani nawet drzew. Powietrze wydaje się ciche, kojące. Czasem przeświała je ogromna kula słońca. Agata czuje, że szczęściem byłoby ułożyć się w nim na chwilę, zamknąć w kokonie ciszy, ponad pomrukami miasta, ponad tysiącem zepsutych lodówek i nieudolnych mężczyzn. - Mamo - kiedy będzie obiad - woła dziecko - mówię do ciebie już trzeci raz. - Nawet krzyczysz - odpowiada Agata. Rozparty w fotelu mąż pa-

rzy na nią ironicznie od dłuższego czasu. - Czekasz aż urosną ci skrzydła - pyta złośliwie. Agata kurczy się w sobie z obrzydzenia do niego, do siebie, do całego życia. Obiad jedzą w milczeniu, później Tomek wychodzi, ma do późnego wieczora zajęcia ze studentami. Agata mówi cicho - Tomek, zrozum, ja się zaczynam dusić. - Początkowo patrzy na nią nieprzytomnie, ale za chwilę rzuca. - To wyjdź na powietrze. - Śmieje się z własnego dowcipu. Trzask drzwi. Agata zostaje sama. Pies objedzony i senny, patrzy na nią bez zainteresowania.

Ten wieczór urzekł ją szczególnie

cieplem i ciszą powietrza leżącego nad miastem. Otulił piśszczotliwie kiedy stanęła w otwartym oknie.

- Jak dobrze byłoby poleżeć w takiej ciszy - pomyślała i nagle zdu miało ją, że przecież to takie proste. Odwróciła się w stronę pokoju. Jęgo brzydota poraziła ją jak za każdym razem. - Tyle lat, tak dużo zmarnowanego czasu - powiedziała do siebie. A w chwilę później wyszła w tę świetlistość, po prostu tak, jak się wychodzi na zakupy.

Anna Gniewkowska

## KLAPA idzie dalej

Teatr *KLAPA* zaproszony był tego lata do Atlanty w USA na festiwal teatrów lalek - przegląd krajowy. Aktorzy mieli wziąć udział w warsztatach szkoleniowych, a przy okazji przedstawiliby tam uczestnikom spotkanie zestaw etiud, demonstrujących techniki lalkowe, stosowane aktualnie przez polskie teatry lalek. Zespół przygotował się pieczołowicie do tych prezentacji, toteż rozczarowanie było ogromne, gdy ambasada amerykańska bez podania przyczyn odmówiła udzielenia wiz. Teatr bardzo liczył na możliwość spotkania, wymiany myśli i doświadczeń, a nawet lalek, nie mówiąc o kontaktach zawodowych, towarzyskich i przyjaźniach.

Trudno, nie udało się tym razem, da się niewatpliwie w przyszłym roku... Zwłaszcza, że *Klapa* zaproszona jest również do Atlanty, tym razem na festiwal o zasięgu międzynarodowym. Zaproszenie Teatr zadzięcza pozytywnym opiniom i recenzjom z poprzedniego pobytu w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Styl *Klapy* i aktorstwo zespołu stanowią dla gospodarzy te wartości, z którymi nie chcą oni tracić kontaktu.

Jako ciekawostkę warto podać,

że festiwale w Atlantyc mają charakter ciągły; trwają miesiącami. Nie są to pośpieszne, skomasowane przeglądy. Tam konsumuje się prezentowane propozycje powoli i gruntownie. Jest czas na refleksję, dyskusję, a nawet na powtórzenie, kiedy zaistnieją wątpliwości. I tyle na razie o przeszłych i przyszłych planach wyjazdowych.

W nowym sezonie aktorzy planują (a raczej już zaplanowali i działają) realizację widowiska szczególnego gatunku. Będzie to teatr o charakterze edukacyjnym, adresowany do młodzieży z klas V-VIII, czyli do najmłodszych nastolatków. Można bez obawy stwierdzić, że ta grupa wiekowa znajduje się poza sferą zainteresowań teatrów. Lalkowe, jeśli już pomyślą, to o zupełnie małych dzieciach, lub o dorosłych - co jest w modzie, a dramatyczne też nie mają propozycji dla V-VIII, gdyż traktują dziecko bez uwzględniania stadiów rozwojowych najmłodszego widza. Kiedyś repertuar dla tej grupy był domeną "teatrów młodego widza".

- *Tego typu spektaklem* - mówi szef Teatru *Klapa* **Konstanty Sadowski** - *chcemy pomóc szkole w rozwiązywaniu jej problemów progra-*

*mowych, szczególnie w dziedzinie wychowania estetycznego. Wierzymy, że nasze zamiary zostaną dostrzeżone przez dyrekcje szkół i będziemy czekać na zaproszenia.*

Realizowane widowisko będzie bowiem przeglądem konwencji teatru lalkowego; prezentacją technik lalkowych, teatralnej plastyki, sztuki animacji i w ogóle - warsztatu teatru lalek. W scenariuszu znajdują się etiudy, fragmenty sztuk, sekwencje improwizowane. Realizatorzy pragną wprowadzić - stosowany często i na Wschodzie, i na Zachodzie - rodzaj teatru *permanentnego*, lub *wędrującego*. Polega to na utrzymaniu w stałym repertuarze pozycji, która ulega ciągłym zmianom na lepsze; wymienia się poszczególne fragmenty przedstawienia, wzbogaca je, odrzuca słabsze, wprowadza aktualności itp. Warto jeszcze wymienić dwie charakterystyczne cechy tego widowiska, wywodzące się zresztą z ducha jarmarcznego teatru lalek. To improwizacja i żywy kontakt z widownią. I tego też nie zabraknie w spektaklu *Klapy*...

Z planów teatralnych o charakterze nadrzędnym należy wspomnieć - na razie bez nazwisk - o zamiarach nawiązania współpracy z wybitnymi artystami teatru i poszerzenia obszarów oddziaływania drogą urozmaicenia repertuaru.

Kacper Sądecki

## Z Ignacym Andrukiewiczem rozmawia Dorota Lewczuk



**Jesteś inżynierem mechanikiem, skąd więc wzięło się u Ciebie zamiłowanie do muzyki, śpiewu?**

Rzeczywiście skończyłem Politechnikę Białostocką, jednak niezależnie od tego - od wielu, wielu lat, moje zainteresowania cały czas oscylowały wokół przedmiotów humanistycznych m.in. literatury, sztuki i oczywiście muzyki. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, że obcując większą część życia ze środowiskiem technicznym trwałem w tych swoich zamiłowaniach i potrafiłem je w sobie rozbudzać. Teraz z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że mój wy-

uczony zawód nie odzwierciedla tego, co bym chciał w życiu robić, o czym marzyłem kiedyś, o czym nadal marzę. To wszystko nie przeszkodziło mi jednak w rozwijaniu się niezależnie od mojej profesji.

Jeszcze jako młody chłopak zainteresowałem się - jak wszyscy chyba wtedy - polskim bigbitem. Potem, kiedy już studiowałem, zrodziła się moja mi-

łość do gatunku zwanego popularnie, choć może nieprawidłowo, piosenką studencką. Ten rodzaj piosenki, piosenki z dobrym tekstem zawsze najbardziej mi odpowiadał. Zresztą cały okres studiów był czasem poświęconym na penetracje, kontakty, poszerzanie wiedzy na temat twórczości, w której duże znaczenie miał tekst. Stąd chyba wywodzi się moje późniejsze zainteresowanie sztuką estradową już o większym kalibrze, większej mocy; sztuką, która zawsze wiązała się z dobrym warsztatem i mówiła o rzeczach ważnych. I zawsze mnie fascynowali ci, którzy taką sztukę uprawiali. Takim człowiekiem był i jest Leonard Cohen, zawsze go lubiłem śpiewać i tak chyba pozostanie do końca.

**Właśnie, jak to jest z tobą i Cohenem? Był taki czas, że wszyscy śpiewali jego piosenki, potem moda na Cohena**

**jakby minęła. Ty jednak nieprzerwanie od wielu lat śpiewasz jego teksty...**

Wszystko zaczęło się w roku 77, kiedy wpadł mi w ręce magazyn literacki *Radar*. Było to fantastyczne pismo publikujące twórczość młodych literatów, poetów. Właśnie w *Radarze* pierwszy raz przeczytałem o Leonardzie Cohenie. Wydrukowano tam też dwie czy trzy jego piosenki. Natychmiast nauczyłem się ich na pamięć i wtedy właśnie rozpoczęła się moja miłość do Cohena. W międzyczasie, oczywiście, zacząłem szukać o nim materiałów.

Było o nie bardzo trudno. W Polsce Cohen był wówczas zupełnie nieznanym, dopiero zaczynało się o nim mówić, głównie dzięki Maciejowi Zębatemu i Maciejowi Karpińskiemu, którzy tłumaczyli jego teksty. To oni rozpropagowali jego twórczość. W latach osiemdziesiątych Cohen stał się na tyle modny i popularny, że w Krakowie istniał nawet Festiwal Pieśni im. Leonarda Cohena, a kto żyw, kto tylko znał kilka akordów, chwycił za gitarę i grał Cohena. Byliśmy wszyscy zafascynowani treściami, które przekazywał. Według mnie jest to bardzo wysublimowana poezja, jednak taka, która ma łatwość trafiać do przeciętnego odbiorcy. Może dlatego, że mówi o rzeczach ważnych, o miłości, nienawiści, wojnie, o pacyfiźmie, o tych wartościach, które są na co dzień z nami, które są każdemu bliskie. Niezwykle ciekawa i bardzo odważna jest erotyka Cohena, czasami nas deprymująca, jak gdyby nie zawsze odnosząca się do tego typowo polskiego, zaściankowego pojęcia moralności.

Oczywiście, tak jak inne, moda na Cohena też minęła, jest u nas nieco mniej popularny. Ja jednak cały czas przy jego pieśniach trwam, nigdy nie przestały mnie obchodzić.

**Czy pierwszy występ przed publicznością był dla Ciebie dużym przeżyciem?**

Muszę tutaj powiedzieć o dwóch takich momentach, które bardzo utkwiły mi w pamięci.

Pierwszy zdarzył się podczas Wakacyjnej Akademii Kultury Studenckiej. Byli tam różni twórcy ze środowisk studenckich: filmowcy, muzycy, ludzie związani z teatrem i tzw. animatorzy kultury, do których ja się zaliczałem. Mieliśmy na tym obozie warsztaty i jednocześnie organizowano w okolicy przeróżne koncerty. Tam po raz pierwszy miałem okazję wystąpić przed publicznością. Na jednym z tych koncertów był znany krytyk muzyczny - Ibis Wróblewski. Spodobał mu się mój występ, wystawił mi pochlebną opinię. Zdopingowało mnie to wtedy do pracy.

Później były zaproszenia do różnych klubów studenckich na koncerty, udział w imprezach turystycznych typu Yapa, Bazuna.

Drugi znaczący moment - kiedy po raz pierwszy zdecydowałem się na pokazanie publiczności tego, co sam

# Pokój z widokiem na obraz

Nie jest łatwo dostać się do Rybak. Za daleko, żeby dojść pieszo - z Narwi, dokąd dojeżdża autobus, będzie ponad pięć kilometrów. Nawet sklepu już nie ma, został po nim tylko pusty, okratowany budynek z mocno wyblakłym szyldem. Domy, jak zawsze w niedużej wsi, usadzone wzdłuż kamienistej drogi, a przed każdym ławeczka. Łałem przysiadają na nich kobiety, bo też i łałem najwięcej się w Rybakach dzieje, a ruch tu wcale nie mały. Trzeba tędy przejechać, żeby dotrzeć do ośrodka wypoczynkowego *Rybakówka*, położonego kilometr dalej wśród pięknych, sosnowych lasów. We wsi mówią, że odkąd wybudowali ten ośrodek, skończyło się spokojne życie. Wiadomo, mało to różnego talatajstwa teraz po świecie chodzi? Dawniej nie do pomyślenia było, żeby szedł obcy przez wieś i nawet dzień dobry nikomu nie powiedział, a dzisiaj...

**Staszek Poskrobko** jednak nie narzeka. Kto wie, może tylko on jeden? Ale gdyby nawet tak było - nic dziwnego. Zawsze był inny niż wszyscy, już od dziecka. Nieraz, zdarzało się, pracowali całą rodziną przy żniwach. Nagle rozlegał się wrzask, leciały wyzwicka. To matka obsobaczała Stasia, który - zamiast pracować - stał z zadartą w niebo głową i beztrzesko gapił się na szybujące wysoko bociany.

W czwartej klasie podstawówki postanowił, że będzie malarzem. Kupił plastikowe pudełko z akwarelkami i z dumą pokazywał je kolegom.

O jego ojcu mówią, że był z niego taki trochę dziwak. Kiedyś na przykład postanowił ogrodzić płotem całą wieś, żeby było bezpiecznie. No i po całych nocach słychać było stukanie; całymi nocami budował ojciec ten płot, bo w dzień spał. Jeśli kogoś lubił - rzeźbił mu sztachety w zaokrąglone główki, koniecznie z dziurką pośrodku. Cały swój płot, płot Poskrobków, też tak wyrzeźbił.

Koledzy żartowali ze Stasia. Bo czyż można było poważnie go traktować? Zawsze znajdował sobie coś, czym się fascynował. Kiedy był małym chłopcem, robił proce - porządne, prawdziwe proce do strzelania. Tak doskonale trafiły do celu, że chłopcy je kupowali. Potem - miał wtedy może z szesnaście lat - zajął się kulturystyką. Całą siłownię, wszystkie te maszyny sam sobie zmagistrował. Później była moda na ringo. Staś pojechał do Warszawy i przywoził stamtąd ringo. Zaorał kawałek ziemi,

udeptał go deskami, aż powstało z tego kawałka prawdziwe boisko do ringa, a później - do badmingtona. I tak długo chodził za chłopakami, aż wreszcie zgadzali się trochę z nim pograć. Grali potem długo, aż do szarego zmierzchu.

Jak już mu to przeszło - zainteresował się psychotroniką, dziwami nie z tej ziemi. Tyle się naczytał różnych książek na ten temat, że potrafi mówić o tym godzinami.

Po cichu trochę mu zazdrościli tego uporu, konsekwencji. Bo jak już coś go zajmie, będzie to robił tak mocno, tak stanowczo, że aż dziwi bierze.

Kiedy był już nastolatkiem, zorientowali się, że z tym malowaniem chyba mu nie przejdzie. Często, wykorzystując jego naiwność, "miastowi" kolesie robili mu kawały. Któryś powiedział mu, że prawdziwy malarz powinien mieć sztaluługi. Staś zapytał, co to takiego. - *Sztalułgi to takie specjalne buty z zakręcanymi nosami* - odpowiedział szybko kumpel. Podczas następnego pobytu w najbliższym miasteczku Staś poszedł do sklepu obuwniczego pytać o sztalułgi.

Potem znów czytał książki, oglądał albumy, jeździł po wystawach - nawet warszawskich. Kiedyś zapakował kilka swoich obrazów i uprosił matkę, żeby z nim pojechała do Supraśla, do liceum. Tam obejrzel jego prace, nawet im się podobały, ale powiedzieli, że na naukę już za późno, że trzeba było zgłosić się o kilka lat wcześniej. Do tej pory Staś żałuje, że nikt mu w porę nie powiedział: idź tam; nikt go nie popchnął na właściwą drogę.

Kilka razy próbował uciec z Rybak. Zaczynał naukę w różnych szkołach, ale zawsze po jakimś czasie wracał. Jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca gdzie indziej, jakby tylko tu czuł się bezpiecznie.

Któregoś dnia zawiązał swoje prace do Białegostoku, do WDK-u. Pokazał je Poli Orzechowicz, ówczesnej szefowej plastyków. Pola podobno się nim zachłysnęła. To wtedy Staszek pojechał na swój pierwszy w życiu plener malarski. I wtedy zaczął się jakby nowy etap w jego życiu, w twórczości. Naprzewracali mu w głowie, nasluchal się różnych opinii. Coś się zmieniło w jego świadomości i Staś zaczął się gubić w tym wszystkim. W tym, co do tej pory było naturalne, świeże, prawdziwe.

Wystawiał potem swoje obrazy wiele razy w klubach, w BWA w Białymstoku, w Muzeum Wojska w Warszawie. Nieraz odwiedzają go różni ludzie - najczęściej turyści i wczasowicze, zdarzają się nawet zagraniczni. Wprowadza ich do małego, wąskiego pokoiku, wypełnionego obrazami, książkami, półkami, na których pełno jakichś słoiczków, buteleczek. Oglądają jego obrazy i dziwią się. Nie chcą wierzyć, że nie skończył akademii. Mówią, że udaje tylko prymitywistę. Czasem niektórzy coś kupują.

Jego ostatnie prace wyraźnie pokazują, że Staś znowu szuka czegoś nowego. Tworzone z worków, papieru, kawałków dżinsu i kleju obrazy zaskakują kolorami.

Łałem znowu przyjedzie tu dużo ludzi.

Anna Kowalska

# SKRYBOLANDIA

Jednym z pisarzy przeżywających obecnie istny festiwal twórczości jest Kurt Vonnegut. Jego pisarstwo zawsze miało u nas admiratorów, jednak przez długie lata starannie reglamentowano jego twórczość. Ostatnie miesiące przyniosły wiele wznowień oraz powieści nie wydawanych do tej pory. Do tych ostatnich należy *Rysio Snajper* - przez krytyków amerykańskich zaliczana do największych osiągnięć Vonneguta.

Mimo olbrzymiej sympatii do tego autora oraz szacunku dla amerykańskiej krytyki literackiej - nie w pełni podzielam to przekonanie.

Za motto do tej powieści mogłoby posłużyć znane przysłowie, że "człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi".

Główny bohater popełnia życiowy falstart jeszcze grubo przed progiem dorosłości oddając najzupełniej przypadkowy strzał bez celu z wyczyszczonej właśnie broni, a kula zabija ciężarną kobietę - matkę dwójki dzieci (a to wszystko się dzieje w Dzień Matki) - sprząającą mieszkanie kilka ulic dalej. Fakt ten zupełnie rujnuje życie Rysia oraz jego rodziny. Jak zwykle u Vonneguta człowiek okazuje się igraszką przypadku i paradoksu. Największa magia książek tego pisarza polega na zrecznosci i sugestywności wymyślanych scenariuszy losów świata i jego mieszkańców. Ludzkie plany, nadzieje i przedsięwzięcia, aksjomaty i dogmaty za sprawą jakiegoś absurdalnego zawiorowania - nagle tracą jakikolwiek sens, zaczynają przypominać pojazd, który kompletnie utracił sterowność i w najdziwniejszych podrygach zmierza do katastrofy. Bo katastrofa lub zagłada obecna jest we wszystkich książkach Vonneguta. Lecz przedstawiana jest w charakterystyczny dla niego sposób - beznamiętnym, błyskotliwie dowcipnym stylem przyprawionym czarnym humorem.

Mieszając rzeczywiste zdarzenia z absurdem i fikcją Vonnegut tak skutecznie zaciera granice między nimi, że po lekturze jego książki, z lękiem otwieramy drzwi swego własnego pokoju, bo być może w ten sposób przekraczamy próg, za którym znajdują się strome schody w nieznaną. Katastroficzne wariacje Vonneguta są jednak mniej lub bardziej znakomite. *Rysio Snajper* na-

leży raczej do tych pierwszych, lecz skutecznie może wciągnąć w nałóg czytania książek starego prześmiewcy.

Nałogowcom zaś najbardziej okazuje zrozumienie warszawskie wydawnictwo DA CAPO, które wydało *Rysia* i wznowiło najwybitniejsze książki Vonneguta - *Rzeźnia nr 5*, *Kocią kołyskę* i *Śniadanie mistrzów*.

\*\*\*

Inny rodzaj katastrofizmu prezentuje angielski pisarz Ian McEwan, którego trzecia już książka - *Betonowy ogród* - ukazuje się po polsku. Dwie poprzednie - *Ukojenie* i zbiór opowiadań *Pierwsza miłość, ostatnie posługi* zostały docenione przez czytelników i krytykę.

Tym, którzy nie zetknęli się z tą twórczością należy się ostrzeżenie. Są to straszne książki, porównywalne jedynie z sennymi koszmarami lub reporterskimi opisami najczarniejszych stron człowieczeństwa. Bo w morderstwach, wynaturzonym seksie, psychicznych dewiacjach i chorobliwych uzależnieniach, które z ofiar i oprawców czynią prawdziwe monstra - słowem w świecie opisywanym przez McEwana tkwi również człowiek, a one tkwią w nim. Może w każdym, może również w nas?

Nie inaczej jest w *Betonowym ogrodzie*. Osierocone, dorastające dzieci, zdeformowane psychicznie przez chorego umysłowo ojca i bezwolną matkę, tworzą zamknięty świat pełen wzajemnej wrogości, a jednocześnie niezdrównej fascynacji, świat odrażający, brudny, zły - lecz przez to również intrygujący.

Czytając tę książkę czuje się ulgę, że to nie nasz świat, ale też trudno się od niego uwolnić.

Jest to zaleta pisarstwa McEwana, wewnętrznej spójności budowanych przezeń sytuacji, stylu pozornie realistycznego, który unormalnia skrajnie nienormalne sytuacje. Nastrój napięcia i grozy budowany jest podobnie jak u Kafki w *Przemianie* czy *Kolonii karnej* poprzez kontrast rzeczowego stylu i opisywanego koszmaru. Kto raz to przeczytał wróci do tej prozy, jak zbrodniarz na miejsce zbrodni. Jest to zarazem i ostrzeżenie i zachęta do lektury, bo *Betonowy ogród* - to naprawdę nie ogródek jordanowski.

Książka wyszła w serii *Salamandra* poznańskiego wydawnictwa ZYSK i S-KA, bocznej odnogi Rebisu.

\*\*\*

Tak się jakoś złożyło, że wszystkie moje propozycje są tym razem mało optymistyczne. Tyle tylko, że tym razem będzie o koszmarkach polsko-amerykańskich przedstawionych przez swojaka - Edwarda Redlińskiego w *Szczuropolakach*.

Powróciwszy do Polski i polskiego życia literackiego Redliński, że się tak garmazeryjnie wyrażę - wyrzuje z siebie Amerykę. Świadczą o tym choćby tytuły: *Dolorodo*, *Manhattango*, czy *Szczuropolacy* właśnie. Ta ostatnia książka - to właściwie nie powieść, a jak ją określa sam autor - podsłuchowisko. Rzeczywiście jest to podsłuchiwany mimochodem, rozpisany na głosy i charaktery dyskurs Polaków o Ameryce, o tym niezwykle żywotnym acz zwodniczym micie ziemi obiecanej. Różnorodność punktów widzenia zagwarantowana jest przez dobór bohaterów - od rolnika z Suchowoli po wykładowcę stołecznej uczelni.

Wnioski wylaniają się z tej dyskusji tyleż ponure, co niezbyt odkrywcze: najłatwiej w Ameryce tępym kmiotkom ścibolącym w skarpecie każdego dolara, albo młodym cwaniakom, którzy precz odrzuciwszy słowiańskie sentymenty - uruchomili łokcie, kły i pazury. Najtrudniej zaś wrażliwym inteligentom z polskimi nawykami i mentalnością. Właśnie taki bohater - Profesor - konstatuje gorzko: *Ci sami ludzie w Polsce byli jednak inni. Lepsi. Kulturalniejsi. W Ameryce odsłoniли brzydszą połowę, ładniejszą odłożyli do walizki*.

Wszystkiemu zaś winien, zdaniem autora, kapitalizm, który zamienia ludzką społeczność w "szczurowisko", gdzie liczy się tylko szybszy i silniejszy. Czy to jednak kapitalizm sprawia, że nawet kilkudniowi przybysze do *beżmentów* Jackowa, czy *sablejów* Grenpointu mówią "gabeć" na śmieci i "karpet" na dywan - kalecząc język i polski i amerykański?

Ponieważ nasz region ciągle zasila obficie polskie getta w Stanach książka Redlińskiego winna być lekturą obowiązkową. Dla tych którzy byli - jako okazja do konfrontacji opinii, dla tych, którzy będą - jako ostrzeżenie i samouczek i dla tych, którzy nie chcą być - by wiedzieli, czego uniknęli. Tyle tylko, że szczury rzadko czytają książki.

*Szczuropolaków* wydała oficyna BGW.

Roman Blank

Sezon wakacyjny przyniósł kilka znaczących płyt rockowych wielkich gwiazd, na które tej muzyki czekali ze zniecierpliwieniem. To zwykle bywa: w niektórych przypadkach mieliśmy satysfakcjonujący produkt, w innych nie. W kwestii zawodu. Ale - jak zwykle - kwestia oceny jest bardzo subiektywną. Niemniej jednak warto odnotować należy wszystkie te zjawiska.

\* \* \*

### ERIC CLAPTON: FROM THE CRADLE. Reprise Records.

Gdy w zapowiedziach podano, że Clapton wraca nad płytą wyłącznie bluesową, miliony fanów wiedziały, że jest to doskonały produkt najwyższej jakości. *Unplugged* nie był oceniany różnie, a to ze względu na niewielką ilość zwykłych utworów popowych, które prawdziwi zwolennicy gitarzysty wręcz nie chcą. *From the Cradle* (z kolyski, z samego początku, od samych początków - tak można tłumaczyć ten tytuł, bo "cradle" to kolyska, kołyska, kołyska) zawiera 16 standardów bluesowych, na czele z nieśmiertelnym *Hoochie Coochie Man* czy *Harding Round Crying*, wykonanych z brawurą przez Claptona, jak i przez towarzyszących mu instrumentalistów. Materiał płytowy - jeśli chodzi o stylistykę - należałoby podzielić na dwie grupy. W jednej znajdują się rockowe wręcz interpretacje z ostrą, agresywną gitarą Erica, w

drugiej natomiast wersje stylizowane na archaizm, z gitarą akustyczną, chropowatą, której towarzyszy harmonijka ustna. Coś w stylu Lee Hookera z dawnych czasów. W każdym razie śmiało można powiedzieć, że jest to najlepsza płyta Claptona od dwudziestu lat, bo Clapton był i pozostał bluesmanem. Inną stylistykę powinien zostawić Eltonowi Johnowi.

### JOE COCKER: HAVE A LITTLE FAITH. Capitol Records.

Tegoroczny festiwal w Woodstock przypominał postać Cockera, a najmłodszym słuchaczom pozwolił zapoznać się z wielkim - może

tym razem nie zespołu *The Beatles*, który pomagał mu na początku kariery, ale kompozycję Sebastiana i Boone'a *Summer in the City*. W sumie zgrabna, choć nie rewelacyjna płyta, do słuchania i tańczenia.

### ROLLING STONES: Voodoo Lounge. Virgin Records.

Rewelacją jest już samo istnienie tego zespołu, prawie w identycznym co na początku składzie, poszerzanego tylko do doraźnych celów, jakim może być koncert lub nagranie płyty. *Rolling Stones* ponadto

archaizują swoje nagrania, dzięki czemu brzmią one tak, jakby dokonywano ich w latach sześćdziesiątych. Gitara brzmi sucho, bez

większego pogłosu i innych bajerów, a bębny jakby uderzano w puszkę po konserwach i tekturowe kartony. A mimo to Mick Jagger przyciąga swą osobowością nowe tłumy młodych fanów, a jego piosenki wchodzą na listy przebojów. Z tej płyty takim hitem okazała się *Love is Strong*, namiętnie lansowana przez MTV. Płyta ma jednak słabsze kawałki i po jednym wysłuchaniu nadaje się już tylko na półkę. Chyba, że Micka kocha się ponad wszystko.

Mr CD

## KOMPAKTOWISKO

największym - wokalistą ćwierćwiecza. Stąd płyta *Have a Little Faith* (Trochę wierze) rozeszła się błyskawicznie. Cocker nie wstrząsnął jednak swoimi wielbicielami i nie ma się co dziwić, bowiem od wielu lat ten wokalista utrzymuje się na tym samym poziomie. Ale dzięki temu słuchając płyty łatwo przenosimy się w klimat pierwszego festiwalu w Woodstock. Bo Cockerowi nawet głos się nie zmienił. Można jedynie mieć zastrzeżenia do repertuaru, który z biegiem lat komercjalizuje się coraz bardziej. Swoim zwyczajem Cocker zawarł na płycie jeden wielki hit,

## Lalkowy Autobus Ekologiczny rozpoczął sezon

Inauguracją działalności *Autobusu* było Wielkie Sprzątnie w Białymstoku. 17 września 1994 r. zostaliśmy zaproszeni przez Andrzeja Białka, dyrektora GOK-u w Juchnowcu do wzięcia udziału w sprzątnięciu w Lasu Solnickiego. Przedstawienia lalkowe o tematyce ekologicznej miały być atrakcją tej pożytecznej ze wszech miar akcji. Młodzież szkolna z Juchnowca i ze Szkoły Społecznej nr 4 w Białymstoku, po kilku godzinach pracy, zasiadła na polanie w sercu Solnickiego Lasu i obejrzała program, który przygotowaliśmy. Wystąpił zespół Teresy Szarneckiej *Kukielkarskie Bractwo* ze Szkoły Podstawowej nr 44 w Białymstoku.

Polskie Radio Białystok - główny inicjator sprzątnięcia - przekazał nam wiele sympatycznych drobiazgów. Zostały one rozdane małym sprzątaczołom w nagrodę i na pamiątkę udziału w tej ekologicznej akcji. Nie zabrakło też ogniska i pieczenia kiełbasek, bo wiadomo, po pracy nie chce się wrócić do domu szczęśliwi i dumni z pięknie i pożytecznie spędzonego dnia.

Obecnie przygotowujemy się do dwudniowych warsztatów ekologicznych, które odbędą się w Domu Dziecka im. Janusza Korczaka w Białymstoku w dniach 22-23 października 1994 r.

Zawiadująca L.A.E.  
Zula Brzezińska

## OGÓLNOPOLSKI KONKURS NA LIRYKĘ MIŁOSNĄ O LAUR MIEDZIANEGO AMORA

W konkursie mogą wziąć udział zarówno twórcy profesjonalni jak i amatorzy.

Uczestnicy nadsyłają zestaw trzech utworów poetyckich.

Zgłoszone do Konkursu wiersze nie mogą być, do czasu ogłoszenia wyników, publikowane w całości, ani we fragmentach oraz nie mogą być nagrodzone w innych konkursach.

Prace konkursowe nadsyłać należy pod adresem:  
**Dom Kultury Zagłębia Miedziowego**  
ul. Armii Krajowej 1  
59-300 Lubin  
z dopiskiem "Konkurs"

Imię i nazwisko oraz dokładny adres autora należy dołączyć w osobnej, zaklejonej kopercie opatrzonej takim samym godłem jak prace konkursowe.

Przewiduje się następujące nagrody:  
I nagroda - 10.000.000 zł  
II nagroda - 8.000.000 zł  
III nagroda - 5.000.000 zł  
oraz trzy wyróżnienia po 2.000.000 zł

# Tajemnice masońskiej łóży

Każde dziecko w Białymstoku wie, że Biblioteka Wojewódzka mieści się w budynku dawnej łoży masonskiej. Gorzej jest już z wiedzą o samej masonerii i jej roli w osiemnastowiecznej historii Europy i Polski, zwłaszcza że przetrwała do czasów obecnych.

Przez długi czas sądzono, że pierwsze masonskie fartuszki przywoził z Francji do Polski sekretarz Jana Klemensa Branickiego generał Andrzej Mokronowski. Poniekąd potwierdzał tę opinię W. Smoleński podając, iż pierwszą łożę założono w Dukli, a jej członkiem był zaufany dworzanin hetmana.

Tymczasem drobiazgowo badania L. Hassa przekonują, iż pierwsza łoża powstała przy końcu XVII wieku, a w 1721 roku miała już rozbudowaną strukturę organizacyjną. Nosiła nazwę *Czerwone Bractwo*. Należeli do niej przedstawiciele magnaterii i zamożnej szlachty - między innymi obaj Czartoryscy, hrabia Ossoliński, podskarbi koronny Jan Przebendowski, a także żupnik bydgoski Borucki. Łoża ta była pierwszą w Europie środkowo-wschodniej organizacją masonską.

W jej obrzędach dużą rolę odgrywał kolor czerwony, młot, kielnia, fartuch i cyrkiel. Atrybuty te wskazują wyraźnie na racjonalistyczno-demokratyczny charakter związku. Masoni etykę swą opierali na prawach natury. Uważali, iż każdy człowiek posiada rozum, czucie i instynkt sprawiedliwości tak, jak ptaki posiadają upierzenie, a niedźwiedź futro. Owe instynkty nakazują jednostce ludzkiej, by była użyteczna; wyznaczają drogi moralności i cnoty. Członkowie bractwa mają obowiązek wzajemnego wspierania się i niesienia pomocy innym, stąd ożywiona chrytatywna działalność braci. To oni wprowadzili darmowe szczepienia dzieci przeciw ospie, z ich inicjatywy powstało w Warszawie w 1783 roku Towarzystwo Dobroczynności i Dom Ubogich, którego kierownikiem został najstarszy z wolnomularzy baron Piotr Le Fort. Wspierano ubogich i sieroty, pomagano powodzianom i pogorzelnikom.

Tajemniczość i zarazem malowniczość obrzędów masonskich budziła zainteresowanie i przysparzała łożom nowych adeptów. Stowarzyszenie odegrało dużą rolę w upo-

wszechnianiu idei oświeceniowych.

Wstępujący do łoży byli sobie równi. Nie miał znaczenia tytuł, majątek czy zajmowana w społeczeństwie pozycja. Każdy składał przysięgę zachowania tajemnicy i przestrzegania zasad związku. Każdy też przechodził trzy stopnie wtajemniczenia, których nazwy wywodziły się z tradycji rzemieślniczych cechów: ucznia, czeladnika i mistrza. Każdemu z trzech stopni towarzyszyły inne obrzędy, nawet sale zebrania poszczególnych stopni były inaczej przyozdabiane, zgodnie z zakresem wtajemniczenia. Członkowie łoży nazywali siebie braćmi i gwoli większej konspiracji przybierali organizacyjne imiona. Ta tajemniczość sprawiła, iż do dziś nie wszystkie kwestie dotyczące masonerii są jasne i jednoznaczne. Dotyczy to zarówno wpływu organizacji na politykę poszczególnych państw, jej roli w karierze niektórych osób, jak i używanych przez nią symboli. Na przykład litera G pośrodku pięcioramiennej gwiazdy na kobiercu uczniów interpretowana jest jako pierwsza głoska wyrazu Bóg w języku angielskim i niemieckim, bądź jako początek greckiego słowa *gnosis* - wiedza lub wyrazu geometria, pojmowanego jako proporcje wiedzy znanej i tajemnej we wszechświecie.

W salonach Wersalu Podlaskiego kwestie masonskie były żywo dyskutowane. Świadczy o tym wiersz Elżbiety Drużbackiej o przydługim ówczesną modą tytule: *Na kompanią franc-masonów dla kawalerów i na kompanią de mops dla dam*, w którym poetka staje w obronie bractwa:

*Franc - mason przyjaźń w sekcje zachowuje  
I miłość świadczy nad swym towarzyszem...  
On się bliźniego wspomóc obliguje.  
Jeden drugiemu nie ścierpieć hołyszem.  
Nie lepszą przyjaźń z takim kameratem  
Niż dla wierności się zwać psu bratem?*

Jak widać poetessa była niezłe w prawach stowarzyszenia zorientowana mimo jego pilnie strzeżonych tajemnic.

Wyjaśnijmy drugą połowę tytułu: należące do związku kobiety przyjęły jako swe godło mopsa - rasę najmłodniejszą w owym czasie, pieszczoną przez modnisie w Paryżu, Dukli i Warszawie. Jak wynika z pamiętników Katarzyny zwanej później Wielką, mops królował i w jej buduarze. Pies stał się elementem nazwy łoży dam Rzeczypospolitej jako wzór wierności i przywiązania. Wszak mason to według Józefa Minasowicza *Cny obywatel, ojczyźnie życzliwy, wierny koronie, Rzeczypospolitej przyjaciel prawy*.

Z dworzan Branickiego najdłuższy stał wolnomularski i najwyższy

stopień wtajemniczenia miał generał Andrzej Mokronowski. Jego zasługi dla bractwa też są znaczne, choć rola w masonerii polskiej nie do końca wyjaśniona. Po czasach dukielskich organizował łożę w Warszawie. W 1744 roku tej właśnie łoży o nazwie *Trzej Bracia* oddał do dyspozycji swój dom na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej. Zauważmy, iż masoneria często odwoływała się do magii liczb: były trzy stopnie wtajemniczenia, trzyramienne świeczniki, których różną ilość zapalano w czasie uroczystości i zebrania lub po trzy lichtarze.

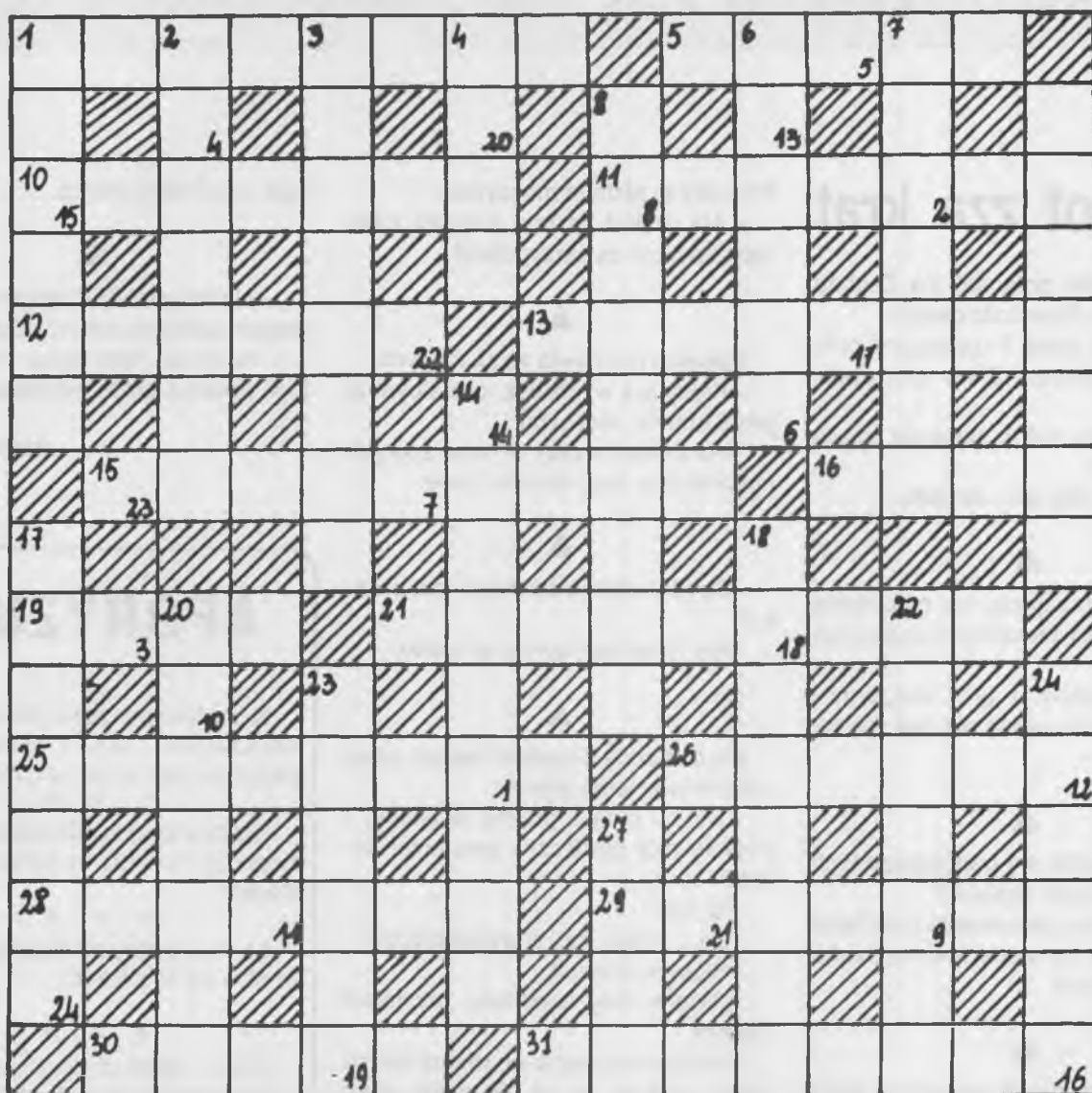
Niektóre łoża francuskie skłaniały się ku alchemii i ku naukom tajemnym. Tym wpływem Mokronowski nie ulegał. Rozwój łoży *Trzej Bracia* zahamował edykt papieski skierowany przeciw masonerii. Zawieszeniu uległa na pewien czas działalność większości z nich. Nie na długo jednak. Po wyborze na tron Stanisława Augusta Poniatowskiego powstaje w stolicy łoża *Cnolliwy Sarmata*, patronuje jej sam król, a należą do niej jego stronnicy, którzy przeforsowali kandydaturę Poniatowskiego w czasie wolnej elekcji. Do *Cnolliwego Sarmaty* wstąpił też Gabryjel Podoski - ówczesny prymas Polski, pierwsza po królu osoba w Rzeczypospolitej. Obecność zwierzchnika Kościoła w związku masonskim nikogo jednak nie zdziwiła.

Łoża stała się wyraźnym związkiem politycznym popierającym króla i jego politykę. W takim bractwie nie mogło być miejsca dla prawdziwego masona, jakim był Mokronowski. Złóżczyła, że dzielił on częściowo niechęć Branickiego do nowego pomazańca. W tej sytuacji Branicki, wiedzący o dużym wpływie masonerii na życie polityczne Europy i zdający sobie sprawę z możliwości jakie bractwo stwarza, decyduje się patronować powołaniu odrębnej łoży w Białymstoku. Łoża otrzymała nazwę *Złoty Pierścień*, jednakże w roku 1770 - już w nowym budynku - została rozwiązana, a na jej miejscu powstała *Przyjaźń*, którą kierował m.in. Andrzej Mokronowski. W tym też czasie - według legendy - budynek łoży tajnym korytarzem zostaje połączony z zabudowaniami pałacowymi i jedną z mieszczkańskich kamienic. Po roku 1817 łoża w Białymstoku nadal istnieje pod pierwotną nazwą *Złoty Pierścień*. Mimo zakazu przetrwała najprawdopodobniej do czasów represji po powstaniu listopadowym.

Dziś w piwnicach dawnej łoży masonskiej stoją rzędy regałów wypełnionych książkami, a tajne przejścia znikły wraz z legendą.

Barbara Noworolska

# KRZYŻÓWKA Z HASŁEM




POZIOMO: 1)broni, obrazów, lub zna-  
zków pocztowych; 5)nieobca aktoro-  
w; 10)protektorat; 11)gwara; 12)Aw-  
ra; 13)główny prąd epoki Odro-  
dzenia; 15)jedna z teorii objaśniają-  
cych powstawanie i ewolucję gatun-  
ków zwierzęcych i roślinnych; 16)"...od  
jedzia" Hanny Ożogowskiej; 19)cho-  
ba zakaźna; 21)biały grzyb o dużej  
liściej owocni, niejadalny; 25)nowela  
Andrzeja Witkowskiego; 26)bunkier; 28)ust-  
ęp pocztowy; 29)ozdobna spinka;  
30)straż; 31)uznanie, pisemne lub ust-  
ne wyróżnienie.

PIONOWO: 1)busola; 2)tandeta;  
3)miasto w Japonii, ośrodek rzemiosła  
artystycznego, m.in. słynnej porcelany  
kutani; 6)miasto na trasie Moskwa-Kuj-  
byszew; 7)październik; 8)niezbędny  
przy porządkach; 9)Henry Lewis  
(1867-1950) doradca prezydenta  
H.Trumana w polityce atomowej;  
14)zapal, uniesienie; 17)towarzyszą  
pracom drogowym; 18)warzywo;  
20)do przypinania informacji na tablicy  
ogłoszeń; 22)gospoda; 23)arcybiskup  
Canterbury (Anglia) w 1161 roku;  
24)stolica Turcji; 27)rzeka w Hiszpanii.

Litery z pól ponumerowa-  
nych w prawym dolnym ro-  
gu od 1 do 24 utworzą roz-  
wiązanie, które wystarczy  
prześłać na adres redakcji  
do dnia **30 XI 1994 r.**

Prawidłowe rozwiązania na-  
grodzimy książkami.

Zapraszamy do Redakcji

# Rozmaitości w anegdocie

## Chichot z za krat

Trzej kumple pojechali na Zachód szukać pracy. Powróciło dwóch.

- A gdzie to Józek? - pytają znajomi.
- On... Właśnie... Sklep tam otworzył.
- O! Obrotny facet, sklep po trzech miesiącach?!
- No, tak... Ale on ... łomem...

- To przerażające, że oskarżony oszukiwał tylko biednych i uczciwych ludzi ...

- Panie sędzio, z tymi bogatymi i nieuczciwymi to wcale nie jest tak łatwe...

- I nie wstydził się pan przyjąć tych stu tysięcy złotych łapówki?

- Oczywiście, panie sędzio, ale facet się przysięgał, że więcej nie ma; trzeba być człowiekiem!

Na salę sądową wchodzi dwaj mężczyźni. Uradowany sędzia pyta:

- Przepraszam, czy panowie biegli?
- Nie, skąd? My samochodem.

Nauczycielka muzyki do młodego skrzypka:

- Coś ty przyniósł w tym futerale?

Przecież to pistolet maszynowy!

- Ale draka! To tata poszedł robić skok na bank ze skrzypcami!...

Kapelan rozmawia ze skazanym.

- Kiedy już wyjdiesz, chciałbym ci jakoś pomóc, mój synu...

- Nie da ksiądz rady, w mojej specjalności trzeba mieć dużą wprawę.

- Czy świadek widział sam fakt gwałtu?

- Nie. Sam fakt był już w środku.

Po odsiadce Kowalski zastaje żonę z niemowlęciem u piersi.

- Kto? - pyta z groźbą w głosie. - Pewnie mój serdeczny przyjaciel Janek?

- O, nie!

- To... Józek, mój stary przyjaciel?

- Skądże znowu?

- Wiem: mój ukochany przyjaciel Zbysio!

- Przyjaciel, przyjaciel - przedrzeźnia żona - cóż to, ja już nie mogę mieć swoich własnych przyjaciół?

- Jak można! Ta miłosierna niewiasta dała oskarżonemu bulkę, a oskarżony stłukł jej kamieniem szybę w kuchni!

- To nie był kamień, panie sędzio. To

była właśnie ta bulka...

- I nie wstyd to? Dla głupiego tysiąca złotych zabił oskarżony człowieka!

- Tu tysiąc, tam tysiąc i trochę się tego uzbiera, proszę wysokiego sądu.

..  
uzbierał - AZB

## AFORYZMY

Największa zbrodnia epoki: anulowanie ciszy z trudem wypracowanej w sercu człowieka.

\* \* \*

Najbardziej spektakularna jest boskość nasyciona człowieczeństwem.

\* \* \*

Ma się siebie za darmo, ale ile trzeba za to płacić!

\* \* \*

Coś z dermatologii: w cudzej skórze łatwiej leczyć własne przypadłości.

\* \* \*

Żaden kapitalizm nie żyje kosztem samego siebie. Rozpisany jest na konkretne podmioty.

Zbigniew Waydyk

STYK

REDAGUJE ZESPÓŁ W SKŁADZIE

ADRES REDAKCJI

Wojewódzki Ośrodek  
Animacji Kultury  
15-089 Białystok  
ul. Kilińskiego 8  
tel. 328-652, 320-724

REDAKTOR NACZELNY  
Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

ZESPÓŁ  
Kazimierz Derkowski  
Anna Kowalska  
Dorota Lewczuk

PROJEKT OKŁADKI I RYSUNKI  
Kazimierz Falkowski

SKŁAD KOMPUTEROWY I ŁAMANIE  
Barbara Popławska  
Elżbieta Szczurek

DRUK  
SOBOLDRUK